

RODZINA

TYGODNIK

NR 3 (341) ROK VIII. WARSZAWA 15. I. 1967 CENA ZŁ 2

KATOLICKI



Fot. Zdzisław Wdowiński

BRAK ZASADY WZAJEMNOŚCI

W odpowiedzi na oświadczenie biskupów rzymskokatolickich w Szwajcarii w sprawie małżeństw mieszanych, zabrał głos Zarząd Szwajcarskiego Związku Kościołów Ewangelickich. Zarząd wyraził swoje rozczarowanie stwierdzając, że stanowisko Kościoła rzymskokatolickiego, nawet po zniesieniu ekskomuniki w stosunku do katolickiego partnera, jest nie do przyjęcia, ponieważ nie respektuje (w stosunku do współmałżonka niekatolickiego) podstawowej zasady wzajemności, obowiązującej w stosunkach między ludźmi. Kościół rzymskokatolicki żąda „rękojmi chrztu w kościele kat. i katolickiego wychowania dzieci” i nie pozwala przyjmować sakramentów św. stronie katolickiej, żyjącej w małżeństwie mieszanym.

Zarząd Kościołów Ewangelickich oczekuje, że rozmowy prowadzone z Konferencją Episkopatu szwajcarskiego doprowadzą do ustaleń, które będą do przyjęcia przez obie strony i że tego rodzaju ustalenia znajdą swój wyraz w ogólnym ustawodawstwie Kościoła rzymskokatolickiego.

KOŚCIÓŁ REFORMOWANY ZA SEPARACJĄ RASOWĄ

Synod Generalny Holenderskiego Kościoła Reformowanego w Afryce Płd. (X.1966) polecił wszystkim swoim członkom wycofać się z Instytutu Chrześcijańskiego, który zdaniem Synodu — „posiał niepokój w życiu kościoła i w życiu społecznym Afrykanów”. Jednym z mówców, zalecających powzięcie powyższej uchwały, był Dr J. D. Vorster, brat premiera Afryki Płd., który oświadczył m. in. że Instytut Chrześcijański przyczynił się przede wszystkim do wytworzenia w światowej opinii publicznej fałszywego obrazu Holenderskiego Kościoła Reformowanego.

Uchwała Generalnego Synodu

w Afryce wywołała zaniepokojenie i oburzenie w Komitecie Wykonawczym Holenderskiego Kościoła Reformowanego w Holandii. Mówi się o możliwości zerwania wszelkich kontaktów z Kościołem w Afryce Płd.

W prasie protestanckiej pojawiły się artykuły piętnujące stanowisko afrykańskiego Synodu jako czysto polityczną decyzję popierającą politykę segregacji rasowej.

Rada Chrześcijańska Płd. Afryki zrzeszająca reprezentantów 27 społeczności religijnych wyraziła pełne poparcie dla prac i działalności Instytutu Chrześcijańskiego.

KOŚCIÓŁ W HISZPANII COFA SIĘ

Po dłuższych debatach biskupi rzymscy w Hiszpanii przyjęli przedłożony im projekt ustawy, który przewiduje nadanie pewnych uprawnień mniejszościom wyznaniowym. Projekt zostanie następnie przedłożony rządowi i parlamentowi. Omawiany projekt przewiduje

— zniesienie obowiązku uczestnictwa w katolickich obrzędach religijnych członków sił zbrojnych i więźniów,

— pozwolenie na składanie niekatolikom przysięgi według wymagań wyznawanej przez nich religii,

— zezwolenie na zawieranie ślubów wg ich religii i odbywanie pogrzebów (chodzi o niekatolików),

— zezwolenie wyznaniom chrześcijańskim na prowadzenie własnych szkół, seminariów duch. itp.,
— zniesienie zakazu publicznego wyznawania religii niekatolickiej.

KOMUNIA ŚWIĘTA KATOLIKA I PREZBITERIANKI

Katolicki pisarz włoski Fortunato Pasqualino poślubił Barbarę Olson, Amerykankę, należącą do Kościoła prezbiteriańskiego. Ślub (za dyspensą) odbył się w kościele katolickim w bazylice św. Franciszka w Asyżu. Młodzi przystąpili wspólnie do komunii św. (znów za specjalnym zezwoleniem kościelnych władz rzymskich) przy czym p. Olson złożyła wyznanie wiary w rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystii.

KONGRES POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM EWANGELIZACJI

W Berlinie odbył się światowy Kongres poświęcony zagadnieniom ewan-

gelizacji, w którym uczestniczyło 1000 delegatów i obserwatorów ze stu krajów. Przewodniczył Kongresowi Billy Graham. Jednym z uczestników był cesarz Haile Selassie, tym razem występujący jako głowa Kościoła koptyjskiego. W wygłoszonym przemówieniu cesarz nawoływał do tolerancji w stosunku do ludzi innych wyznań.

PROTESTANCKA STACJA NADAWCZA

Międzynarodowa konferencja delegatów i współpracowników chrześcijańskich radiowych stacji nadawczych w Rueschlikon zastanawiała się nad możliwością realizacji powziętej przed laty uchwały budowy radiowej stacji nadawczej, której programy byłyby poświęcone upowszechnie-

niu protestanckich zasad religijnych i etycznych. Delegaci doszli do wniosku, że mimo istniejących trudności, należy podjąć dalsze próby, aby projekt zrealizować.

GODNOŚĆ KAPLAŃSKA

Biskup angielski (rzymskokatolicki) Warlock wydał list o kapłaństwie, w którym m. in. pisze, że kapłaństwo samo z siebie nie czyni człowieka bardziej świętym ani bardziej pobożnym. Kapłaństwa nie można też uważać za okazję do zdobycia kariery. Życie współczesne przyczyniło się do rozwiania mitu o społecznej wyższości księży.

PROTESTANCI W KOLUMBII

Spśród 18,7 mln mieszkańców Kolumbii olbrzymią większość stanowią katolicy, chociaż protestanci podwoili swój stan posiadania na przestrzeni ostatnich sześciu lat. Największa społeczność religijna protestancka Adwentyści Dnia Siódmego liczą 19.213 członków, Zjednoczony Kościół Zielonoświątkowy — 15.352. Łącznie, razem z uczniami szkół niedzielnych i sympatykami protestanci liczą 250.000 osób



Protestanci utrzymują 1.230 szpitali misyjnych w 85 krajach, oraz prowadzą 300 szkół, w których kształcą się siostry i pielęgniarki tubylcze. Misja Bazylijska utrzymuje 8 szpitali i 6 poliklinik z personelem złożonym z 25 lekarzy i 75 pielęgniarek.

ROZMOWY EKUMENICZNE

W styczniu (1967) grupa teologów anglikańskich i rzymskokat. spotka się w miejscowości Gazzada (w Alpach Włoskich), aby przedyskutować sprawę stosunków wzajemnych obu Kościołów. Delegacji anglikańskiej przewodniczyć będzie bp dr J. R. Moorman, rzymskokatolickiej — bp C. Helmsing z Kansas City.

PODSTAWY DIALOGU

Komitet Kościołów Prawosławnych w Belgradzie opracował podstawy i zasady, które mają obowiązywać w dialogu między starokatolikami i anglikanami. W obradach uczestniczyli przedstawiciele Kościoła Prawosławnego Albanii, Bułgarii i Jugosławii.



Anglikańskim biskupem Kościoła w Singapurze i Zach. Ma-

lazji został Ban It. Chiu. Jest to pierwszy biskup miejscowego pochodzenia.



Członek Komitetu Centralnego Światowej Rady Kościołów metropolita Meliton z Heliopolis i Theira został wybrany metropolitą chalcedońskim. Stolica w Chalcedonie opróżniła się na skutek śmierci metropolity Tomasza w październiku ub. r.



W Gaberones (stolica nowego niepodległego państwa afrykańskiego — Botswana) został otwarty kościół św. Trójcy, w którym będą odprawiane nabożeństwa pięciu kościołów protestanckich (anglikańców, metodystów, prezbiterianów, kongregacjonalistów i Stow. Przyjaciół).

SYNOD KATOLICKI W HOLANDII

W listopadzie ub. r. odbył się w Holandii narodowy synod katolicki, który miał za zadanie przepracowanie form i metod przeszczepienia zapoznania społeczeństwa holenderskiego z uchwałami Soboru Watykańskiego. Do udziału w synodzie zostali zaproszeni przedstawiciele innych Kościołów.

KOŚCIÓŁ RZYMSKO-KATOLICKI I TOWARZYSTWO BIBLIJNE

Papieski Sekretariat Jedności wydał komunikat, w którym mówi o współpracy katolików z niekatolickimi Towarzystwami Biblijnymi w zakresie wspólnego wydawania i upowszechniania Biblii. Współpraca ta jest jak najbardziej wskazana.

POMOC KOŚCIOŁÓW EWANGELICKICH

W ramach pomocy udzielanej przez Kościoły ewangelickie, posłano do Indii maszyny i narzędzia (produkcji szwajcarskiej) wartości 400 tys. fr. szwajc. Część narzędzi została przydzielona nowo otwartej szkole w Dharwar, w której zdobywa wiedzę praktyczną ok. 100 uczniów.

PLENARNE ZEBRANIE ZWIĄZKU LUTERSKIEGO

Piąte plenarne zebranie Światowego Związku Luterskiego odbędzie się w 1970 r. — oświadczył sekretarz Związku dr Andre Appel — a nie jak było planowane o rok wcześniej. Miejsce zebrań nie zostało jeszcze ustalone.

ŚWIĘTO RODZINY

EWANGELIA

(Sw. Jan 2,1 — 11)

Onego czasu: Odbływały się gody weselne w Kanie Gallejskiej i była tam matka Jezusowa. Zaproszono też na gody Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, rzekła matka do Niego: Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Zostaw to mnie, niewiasto, jeszcze nie nadeszła godzina moja. Mówi tedy matka Jego do sług: Uczynicie, cokolwiek wam powie.

A było tam sześć stągwi kamiennych, ustawionych dla obrzędowych obmyć żydowskich, z których każda mogła pomieścić dwa lub trzy wiadra. Rzecze im Jezus: Zaczepnijcie teraz i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A gdy gospodarz skosztował wody, która się stała winem, a nie wiedział, skąd by się wzięło (lecz słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli) przywołał gospodarz wesela oblubienica i rzekł doń: Każdy człowiek daje naprzd dobre wino, a kiedy się napiją, wtedy to, które jest gorsze, a ty zachowałeś dobre wino aż do tego czasu. Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i okazał chwałę swoją, i uwierzyli weń uczniowie Jego.

Ewangelia na Uroczystość Najświętszej Rodziny przenosi ludzi wierzących do Nazaretu i ukazuje Józefa — ojca, Maryję — matkę i Jezusa — dziecko. Jakaż cudowna panuje w Nazarecie atmosfera! Nie rygor, nie prawa i ustawy, lecz najczystsza i najdoskonalsza miłość, a uprzejma życzliwość i wspaniałomyślność leżą u jej podstaw.

Nazaret — to nie marzycielstwo, to nie bezczynna kontemplacja. Nazaret cechuje pracowitość; lenistwo i gnuśność nie mają przystępu do nazaretańskiej Rodziny. Życie składa się z mnóstwa spraw i obowiązków — życie Najświętszej Rodziny nie było od tych spraw wolne. Ona spełniała je, spełniała dokładnie, sumiennie, rzetelnie. To średniowiecze wykoślało obraz nazaretańskiej Rodziny, spowijając ją w mgły nadprzyrodzonych, okliwie pojętych uniesień i doznań mistycznych. To tzw katolicka „socjologia” rodziny wystąpiła z twierdzeniem, że dla rodzin współczesnych, ukształtowanych na wzór Świętej Rodziny nie powinny istnieć jakiegokolwiek ziemskie sprawy: one wszystkie są małe, znikome, nieważne — liczy się tylko Bóg. Fatalne w skutkach twierdzenie i dobrze, że znalazły się kierunki, które twierdzenie to obalily. Nie mogło się ostać, ponieważ było to prawdziwe, a ktokolwiek by je dziś głosił — dawałby dowody, że tkwi w zamierzczłym średniowieczu.

Owszem, dla człowieka wierzącego Bóg jest ponad wszystko, dla wierzącej, chrześcijańskiej rodziny Jego prawa są święte i nie-wzruszone. Lecz przecież istnieje szereg spraw ziemskich w płaszczyźnie indywidualnej, społecznej, obywatelskiej. One się liczą i muszą się liczyć. Pobożne wdychanie nie stworzy ekonomicznych podstaw ani rodziny, ani państwa. Niewątpliwie, cechą nazaretańskiego ogniska domowego była pobożność. Pobożność, która jest statym nastrojem duszy, która w Bogu widzi ojca, w bliźnich braci; w rodzicach Boga, w dzieciach pachole Jezusa. Ta pobożność napętnia duszę człowieka czułością, wyrozumiałością i pozostały mi cnotami chrześcijańskimi; ona czyni rodziców świętymi, a dzieci uległymi. Na pobożności można budować, ale z pobożności nie można żyć. Życie stawia przed nami konkretne zadania, które należy wykonać. Tymi zadaniami są plany gospodarcze, kulturalne, określone postawy patriotyczne i polityczne wychowanie i kształcenie dzieci — a więc zadania realizowane przecież w jakimś stop-

niu przez rodziny. Te zadania można podjąć i realizować, lub zbojkotować i poniechać. Kościół Polskokatolicki nie bojkotuje słusznych zadań stawianych przez państwo, przez Władzę Ludową. Rodziny polskokatolickie — rodziny wiernych, kapłanów i biskupów — należą od lat 23 do realizatorów codziennych zadań ziemskich i należeć będą do nich stale. Chcą pracować i modlić się, modlić się i pracować — tak jak nazaretańska Rodzina.

Na czele nazaretańskiego domu stoi św. Józef — postać najbardziej naturalna w swej prostocie. Józef ojciec i mąż żył życiem przeciętnego Izraelity swych czasów — tyle, że był pracowity, sprawiedliwy, delikatny. Jego cnoty opiewa litania. Gdyż tak nasi ojcowie i mężowie chcieli swe serca i umysły tymi cnotami przyozdobić! Mniej wówczas płynęłoby łez po świecie i więcej byłoby prawdziwej miłości.

Matką jest uboga niewiasta betlejemka, wygnanka egipska, ale za to pełna łaski — daru Ojca niebiańskiego, Pan jest z nią, a błogosławieństwem Ducha św. jest jej syn — Jezus Chrystus. Nasze matki i żony mogłyby także jaśnieć tym blaskiem co Maryja — gdyby tylko chciały, gdyby tylko postanowiły być matkami i żonami jak Ona. Jak ona pobożnymi i jak Ona pracowitymi!

A Jezus — dziecko „było im posłuszne i pomnażało się w mądrości, w latach, i w łasce u Boga i u ludzi” (Łk. 2, 51—52).

Czy nasze rodziny są podobne, choćby w małym stopniu do Najświętszej Rodziny z Nazaretu? A jeżeli nie są, to dlaczego? Gdzie szukać należy przyczyn odejścia od tego doskonałego wzoru: czy wzór się przeżył i czy my naśladować go nie chcemy?

Rozdzierają karnodzieje szaty — czarne, fioletowe i purpurowe — że rodzina współczesna upadła, zagubiła swą moralną wartość, że w rodzinach dzisiejszych dzieje się źle. A przecież małżeństwa katolickie cechują takie wartości jak wolność wyboru, jedność, nierozdzielność, a nade wszystko sakramentalna świętość, z której płynie potrzebna małżonkom łaska stanu. Nasi małżonkowie i rodzice też mogą się modlić, mogą być pobożnymi, przykładnymi, świętymi. Nasze dzieci — jak Dziecię Jezus — mogą i powinny być uległe i posłuszne swym rodzicom, winny wzrastać w mądrości przez kształcenie w szkole, w domu, w kościele, powinny również pomnażać w sobie łaskę Bożą i zyskiwać ludzką przyjaźń. Nie boża to wina, proszą wielebnych karnodziejów, że tak jest jak

jest. Bóg łaskę swą dawał, daje i — miejmy nadzieję — dawać będzie. Tę łaskę należy jedynie umieć wprowadzić w stan aktualnego działania w oparciu o konkretne wzory. Potrzeba zatem nowego i prawidłowego przygotowania młodzieży do życia rodzinnego; potrzeba ze strony Kościoła właściwszego niż dotąd określenia celów małżeństwa; potrzeba gruntownej przebudowy chrześcijańskiej etyki płciowej; potrzeba — wreszcie — wypracowania chrześcijańskich metod wychowawczych. Póki wymienione sprawy opierać się będą na wzorach Jana z Noli, księżny Kingi i Stanisława Kostki — nie może być dobrze.

Zbędnym byłoby dowodzić, że ludzi idących przez życie samotnie jest stosunkowo niewiele. Tak jak od dawna, od zamierzczłych rajskich czasów, że człowiekowi samemu jest smutno i nie ręczo. Dlatego łączy się on w grupy, w społeczności, z których najmniejszą jest właśnie rodzina.

Zanim powstało pierwsze na świecie państwo, zanim ludzkość podzieliła się na narody i wyznania — była rodzina, ta najdrobniejsza, chociaż nieskończenie ważna komórka społeczna — ważna do tego stopnia, że jest sprawdzianem ducha, siły, męstwa, ofiarności i prężności całych społeczeństw i narodów. Nie zawsze nawet ilość włókien decyduje o sile powroza — za to najczęściej decyduje ich jakość. Gruby powróż o włóknach słabych, zgnitych, zbutwiałych nie przysięda się na wiele. Rodzina jest włóknem. Jakim? Na to pytanie warto odpowiedzieć rzetelnie.

Z punktu widzenia religijnego można podać jedną istotną przyczynę upadku rodziny. Jedną, lecz nie jedyną.

Przyczyną tą jest zgubienie Jezusa. Najświętszą Rodzinę również spotkało to nieszczęście — jednak Józef i Maryja nie ustali w poszukiwaniach aż odnaleźli Go. W naszym życiu jest inaczej. Nie kwapimy się, aby Go odnaleźć, a nie znajdując Jezusa, nie znajdujemy również i szczęścia w naszych rodzinach. Życie staje się męką. Dom rodzinny koszarami, miejscem przymusowego pobytu, które opuszczamy pod byle pretekstem, a wracamy niechętnie. Dom rodzinny schodzi do rzędu gospody, wspólnej jadalni, hotelu, gdzie wszystko opiera się na wynagrodzeniu, nawet uśmiech w to jest wkalculowany. Miłość? — Była. Chociaż nie bardzo wiemy czy w ogóle była, czy nie była złudzeniem. A gdy zabraknie tej „wiązki doskonałości” — wtedy wszystko się rozsypuje, przyska wspólnota dóbr, zainteresowań, poglądów, wspólnota dążeń i celów — w jej miejsce wkrada się indywidualizm i obrzydliwy egoizm.

Ks. M. P.

STYCZEŃ

N	15	III po Bożym Nar.,
P	16	Marcelego
W	17	Jana
S	18	Piotra
C	19	Marty
P	20	Fabiana
S	21	Agnieszki

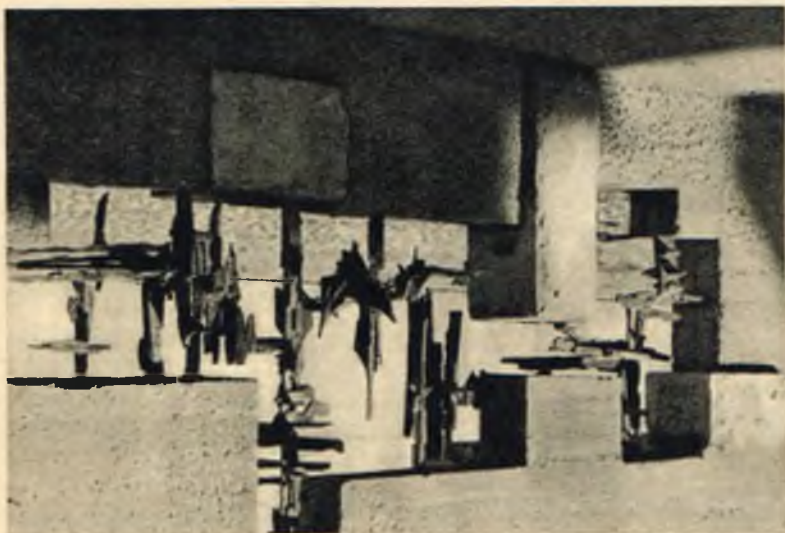


Benares, ulica przed zejściem do Gangesu. Pielgrzym

O ŚWIĘTYCH I OSZUSTACH

Przybywający do Indii zagraniczni turyści wciąż jeszcze wiążą ten „kraj cudów” z pełnym tajemniczości pojęciem „fakirów”, którzy śpią na gwoździach, dają się żywcem zakopywać, dokonują słynnych wyczynów na linie lub też demonstrują inne jeszcze kuglarskie sztuki, znane nam z nakręcanych w Hollywood filmów ośnutyh na tle życia Indii. Oczekiwania ich w większości wypadków zawodzą. Samo już słowo „fakir” wprowadza w błąd. Pochodzi ono z arabskiego i znaczy „biedny”. Określa ono mahometanina, który się wycofał ze świata i wiedzie żywot poświęcony Allahowi. Przypisywane fakirów czarodziejskie sztuki wywodzą się od Hindusów, którzy się nazywają „Sadhu” (pobożni mężowie). Oni to stanowią zastępy komicznych świętych, którzy, usmarowani popiołem, mniej czy bardziej nadzy, tak długo wystają na słońcu, aż ich wyciągnięte ku niebu ramiona wyschną od żaru na podobieństwo starych konarów — a oczy osłepną od blasku. Kładą się na łożu tortur i wyczyniają różne beżcelowe sztuki, aby wywrzeć wrażenie na ciemnym tłumie. Ale również i oni nie mają nic wspólnego z prawdziwymi Sadhu i Sannyasinami.

Sannyasin czy Sadhu jest to Hinduś, który się wycofał ze świata, wyrzekł się wszystkich dóbr ziemskich i rozkoszy zmysłowych i żyje wyłącznie dla dopełnienia swego przeznaczenia, do czego dąży każdej prawowierny Hinduś. W pierwszym etapie życia jest on „Brahmachari”, uczniem Braminów i jako taki, pod kierunkiem duchowego nauczyciela, zajmuje się studiowaniem świętych ksiąg. Kiedy osiągnie wiek męski, wkracza w stadium „grihastha”, albo ojca rodziny.



Fragment muzeum w lochach Pawiaka

W tym stadium musi się ożenić, założyć rodzinę i spłodzić syna, który przedłuży ród i dopełni, w razie jego śmierci, przepisowych obzędów pogrzebowych. Będąc w tym stadium poświęca się także jakiejś pracy zawodowej i oddaje się uciechom tego świata. Przebywszy to stadium, wycofuje się z powrotem, jako „vanaprastha”, do życia pokutnego i oddaje się rozmyśleniom o ostatecznych celach życia ludzkiego. Kiedy osiągnie mądrość, do której dążył, wówczas pędzi żywot jako „Sannyasin”, jako bezdomny żebrak, który poznał, że świat to „maya”, to złuda i oszustwo — i który dąży do wyzwolenia. Nie wszyscy Hindusi wcielają dziś tak konsekwentnie w życie te nauki, od czasu do czasu obija się jednak o uszy, że nagle jakiś bogaty Hinduś, czy nawet milioner, wycofał się ze świata i przywdziałszy pomarańczową szatę zniknął na zawsze z oczu.

Indie dostarczyły wielu słynnych Sannyasinów, jak: Ramakrishna, Svami Vivekanda i Shri Aurobindo, których głębokie wiadomości z zakresu filozofii i religii również i na Zachodzie są cenione. I w dzisiejszych Indiach żyją tacy święci — wśród nich również i kobiety — przeważnie z daleka od świata, w pustelniach ukrytych w Himalajach — i nie narzucają się ludziom. Z szerokimi rzeszami tak zwanych Sadhu nie mają oni nic wspólnego.

Liczbę Sadhu ocenia się w Indiach na około pięć milionów. Wielu z nich łączy się w zakony, tak zw. Panthów czy Muttów. Najsurowszym zakonem jest zakon „Bharat Sadhu Samaj” (Indyjskie Stowarzyszenie Sadhu), liczące przeszło sześćset członków. Ilość zakonów nie jest dotychczas objęta statystyką. Są między nimi również zakony nudystów, jak np. „Nanga Sadhu”. Widuje się ich prawie jedynie z okazji wielkich uroczystości religijnych, w miejscach świętych pielgrzymek, gdzie rzucają się w oczy z powodu swego „porywczego temperamentu” i aroganckiego zachowania, co niezbyt odpowiada charakterowi zakonu Sadhu. Sławni są również „Aghori Sadhu”, którym się zarzuca składanie ofiar ludzkich w postaci dzieci — i kanibalizm.

Wielu nowoczesnych Hindusów uważa fakt istnienia zakonu Sadhu w postępowych Indiach za anachronizm. Uważa się ich za bezużytecznych pasożytów żyjących na koszt społeczeństwa i nie wnoszących najmniejszego wkładu w budowę nowych Indii.

Prawdziwi Sadhu stanowią dziś jeszcze w indyjskim narodzie duchową warstwę, która włącza się zresztą do ogólnego dzieła odbudowy kraju. Inicjatywa ta wyszła od samych Sadhu. Na konferencji zakonu „Bharat Sadhu Samaj” omówiono plan zwalczania na wsi wszelkiego rodzaju korupcji, pijaństwa, fałszowania środków żywnościowych i innych nadużyć. Dąży się do wychowywania ludu w uczciwości i religijności, do podniesienia go pod względem moralnym. Zakon ten przystąpił już skutecznie do dzieła.

W 1957 roku przedłożono w parlamencie projekt ustawy przymusowej rejestracji wszystkich przebywających w kraju Sadhu i Sannyasinów, by, jak opiewał projekt, uchronić święte zakony „od hańby i wyzysku”. Planowana ustawa została jednak jednogłośnie odrzucona i obaj przybrani w szafranowe szaty postowie z zakonu Sadhu, oświadczyli, że byłoby absurdem, by ludzie, którzy się wycofali ze świata, zgłaszali się do biura rejestracyjnego. Nawet poseł komunistyczny towarzysz V. P. Nair, wypowiedział się przeciwko rejestracji zakonów — i wywołał ogólną wesołość przedstawiając w plastyczny sposób widok, jaki stanowiąliby nagusieńcy Sadhusowie z zakonu „Nanga” maszerujący do biura rejestracyjnego przez nowoczesny plac Connaught, znajdujący się w eleganckiej dzielnicy handlowej New Delhi.

Nie ma w Polsce człowieka, który by nie słyszał nazwy — „Pawiak”.

„Fundatorem” tego tragicznego więzienia (między ulicami Dzielną i Pawią) w stolicy Polski były rządy carskie. Rok założenia 1835!

Przez mury Pawiaka przeszło wielu wybitnych Polaków. Tu przebywał Romuald Traugutt, dyktator powstania styczniowego. Stąd przewieziono go do cytadeli, gdzie został rozstrzelany. Więźniami Pawiaka byli: Ludwik Waryński, Feliks Dzierżyński, Stefania Sempołowska.

Szczególną sławę zdobył Pawiak w okresie okupacji hitlerowskiej. Przez bramę więzienną przeszło wówczas 100 tysięcy więźniów. 37 tys. zginęło w egzekucjach. Ponad 60 tysięcy wywieziono stąd do obozów koncentracyjnych.

MIEJSCE TRAGICZNYCH

Ale los uśmiechnął się w porę. Któregoś dnia zaczął Mahomet na ulicy jakiś człowiek, dość przyzwoicie ubrany, i oświadczył, że jest przedstawicielem pewnej bogatej damy, która prowadzi w Mekce wielki dom handlowy.

— Cóż mnie to niby obchodzi? — zapytał Mahomet. — Jak zapewne wiesz, człowieku, nie jestem samodzielnym kupcem i dlatego nie mogę prowadzić z nią żadnych interesów. A jak się nazywa ta dama?

— Chadidża — odparł rozmówca. — Jest wdową i nie może sobie poradzić z interesami. Dlatego szuka kierownika dla swojego przedsiębiorstwa. Słyszała wiele o tobie i twojej uczciwości, i dlatego ciebie chciałaby widzieć na stanowisku kierownika.

— Ależ wszystkim wiadomo, że nie mam głowy do interesów! — wykrzyknął Mahomet.

— To nie jest żadna przeszkoda. Chadidża nie chce powiększać swojego majątku, jest i tak dostatecznie bogata. Wystarczy jej, że nie będzie oszukiwana. A ty na pewno nie dopuścisz do uszczuplenia jej majątku przez nieuczciwych pracowników przedsiębiorstwa.

Po krótkim wahaniu Mahomet zgodził się na propozycję zamożnej wdowy.

ność, jak to zwykł był czynić wuj Abu Talib — zostawiła mu wolną rękę w interesach handlowych. Okazało się wkrótce, że taka swoboda dla ludzi wrażliwych (a do nich Mahomet należał) znaczy bardzo wiele i obrócić się może tylko na dobre obu stronom; o dziwo, przedsiębiorstwo rozwijało się nieźle i przynosiło pokaźne zyski, Mahomet spotykał tu znaczne osobistości — Żydów, chrześcijan, perskich mazdeistów, przedstawiciele niemal wszystkich religii. Rozmawiał z nimi nie tylko o pieniądzach i towarach, lecz także o człowieku i jego bóstwie, o różnicach między dobrymi i złymi uczynkami, o życiu i o śmierci. Mówił pięknie, jak wielu Arabów, którzy, nie posiadając sztuki czytania i pisania, uczyli się na pamięć podań ludowych, przypowieści i poematów. Ci kupcy nie byli drobnymi handlarzami, jak klienci Abu Taliba, ale ludźmi wykształconymi, którzy obok brzęczącego złota cenili rozum i piękno mówionego słowa. Kto wie, może do kantorka Chadidży właśnie dlatego przychodzili tak chętnie, że mogli tam spotkać Mahometa?

Tak czy inaczej, Mahomet nie dbając o pieniądze mimo woli zaczął je zarabiać, na razie na rachunek Chadidży...

W latach dawniejszych, kiedy olbrzymia większość Arabów koczowała na pustyni, ceniono u ludzi odwagę, wytrwałość, zapobieg-

narzeczonej udzielał jej swego błogosławieństwa kładąc uroczystie rękę na głowie córki.

Chadidża wyprawiła huczne przyjęcie, na które przybyło kilkudziesięciu gości; był na nim oczywiście Mahomet, przyszedł także jego wuj Abu Talib. Chadidża wiedziała, że jej ojciec ma wielką skłonność do wina, więc kazała podstawić mu wciąż nowe puchary. Gdy głowa staremu zaczęła się dobrze kiwać, Chadidża dała znak i weszli muzykanci. Przy delikatnych, kołyszących dźwiękach muzyki, ojciec zdrzemnął się nieco. Wtedy wstał Abu Talib i w imieniu Mahometa poprosił śpiącego pijaka o zezwolenie na małżeństwo. Odpowiedziało mu tylko chrapanie, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Chadidża pochwyliła rękę ojca i położyła na swojej głowie — był to znak błogosławieństwa, więc goście jęli wiwatować na cześć młodej pary!

Ojciec — gdy nazajutrz wytrzeźwiał i dowiedział się o wszystkim — szalał z wściekłości. Było już jednak za późno na odwołanie zaręczyn; niebawem odbył się ślub Mahometa z Chadidżą.

Czy Mahomet nie czuł się tym podstępem upokorzony? Czy w ten sposób wymuszone małżeństwo nie miało dla niego gorzkiego trochę smaku?

Raczej nie. Nie przejmował się przesądami teścia. Podział ludzi na biednych i bogatych od dawna wydawał mu się niesprawiedliwy i głupi. Coraz częściej myślał o wielkim Allachu, prostym i dobrym dla wszystkich — jednakowo dobrym dla bogatych, jak dla nędzary i niewolników.

Mahomet został teraz współwłaścicielem wielkiego majątku Chadidży. Chodził we wspaniałych szatach, w jedwabnym turbanie. Jego czarne, trefione włosy, opadające spod turbanu na ramiona, były zawsze wyperfumowane. Ludzie zaczęli go szanować, — jego — niedawno jeszcze pastucha i poganiacza wielbłądów — pierwsi pozdrawiali na ulicy...

Ale Mahomet daleko jest myślami od swoich bogactw. Lubi wymykać się z domu i błądzić po pustyni za miastem. Raz albo dwa razy do roku zostawia zdziwioną i przerażoną rodzinę i znika na parę tygodni. Gdzie się podziewa, co robi? Pasterze okoliczni wiedzą, że mieszka w pieczarach na górze Hira, niedaleko od Mekki, żywi się byle czym albo w ogóle nie jada nic. Dziwny człowiek! Tak się zachowuje właśnie dzisiaj, gdy posiada olbrzymi majątek! Nikt się jeszcze nie domyśla, że Mahomet nie jest w stanie zadowolić się własnym tylko szczęściem i dobrobytem, że pragnie sprawiedliwości i szczęścia dla wszystkich Arabów, ba, może dla wszystkich ludzi. Poszukuje nowej religii, która mogłaby uzdrowić świat.

M. AZEMBSKI

OSOBLIWI SPRZEDAWCA

Czy rzeczywiście tak się przedstawili sprawy, jak to wyłożył wystawnik?

Zapewne wielu ludzi w Mekce odznaczało się zarazem uczciwością i talentem kupieckim. Rzecz jednak w tym, że Mahomet był... bardzo przystojnym mężczyzną, a ponadto inteligentnym i miłym w objęciu. Chadidża od dawna zwróciła uwagę na jego kształtną, choć wcale nie mocarną postać, na czarne, rozumne oczy i twarz o regularnych rysach otoczoną fryzowaną brodą. On miał wówczas lat dwadzieścia pięć, ona co najmniej czterdzieści, dlatego zrazu nie myślała o małżeństwie z Mahometem, chciała mu tylko dopomóc w jego trudnościach, po prostu otoczyć go należytą opieką.

Zaufanie wdowy dodało Mahometowi ducha. Chadidża nie sarknęła na jego nieudol-

liwość w walce z nieprzyjazną naturą. Teraz mieszkańcy miast i osad kupieckich inną wymyślili ocenę dla swoich bliźnich: ich wartość zaczęli taksować według majątku. Poważano bogatych, biednymi pogardzano, liczyła się tylko wielkość worka pieniędzy. Pewnego dnia Chadidża wspomniła swemu ojcu o projekcie małżeństwa z Mahometem i oczywiście spotkała się z jego gwałtownym sprzeciwem. Owszem, to mądry młody człowiek, ale przecież bez grosza, i na domiar złego były poganiacz wielbłądów!

Ale wdowa nie zrezygnowała. Współt z Mahometem, który również pragnął tego małżeństwa, i Abu Talibem postanowili chwycić się podstępny. Otóż w rodach arabskich istniał zwyczaj odbywania zaręczyn, które wtedy stawały się ważne, gdy ojciec

Hitlerowcy próbowali zatrzeć ślady zbrodni, wysadzając w powietrze mury więzienne. Ale część murów została. Zostały piwnice. Dziś mieści się w nich muzeum martyrologii, muzeum męczeństwa polskiego narodu. Przypomina światu hitlerowskie zbrodnie. Przestrzega.

EDMUND RADOCH

Brama straceń



Fragment muzeum w Pawiaku.

WSPOMNIENIE

WŁADCA JORDANII

Bliiski Wschód, ustawiczna arena walk wewnętrznych i zamachów stanu, ostatnimi czasy znowu ogarnięty jest wrzemiem. Tym razem miejscem ich jest pogranicze Izraela i Jordanii, a u ich podłoża leży sprawa Palestyny, o którą walczą — przy czynnym poparciu ZRA i Syrii — Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

Rozruchy wywołane w Nablus i Jeruzolimie, wymierzone przeciw Izraelowi i królówi Husejnowi, zaniepokoiły władzę Jordanii, którego tron obalić by chciały sąsiednie republiki arabskie. Husejn nie omieszkał zwrócić się o pomoc do USA, co jeszcze bardziej zaogniło sytuację.

Haszemickie Królestwo Jordanii, al — Mamlaka al Urdunija al — Haszmija liczy 1.935.440 mieszkańców. Głową państwa jest król Husejn Ibn Talal, urodzony 2 maja 1935 roku. Pochodzi z rodu Haszemidów. Ukończył Królewską Akademię Wojskową w Sandhurst w Anglii. Po dojściu do władzy, pierwszym jego pociągnięciem wymierzonym przeciw swym dotychczasowym opiekunom, było usunięcie dowództwa brytyjskiego z Legionu Arabskiego. W 1957 roku Husejn zerwał układy z W. Brytanią, co miało świadczyć o jego chęciach zbliżenia z sąsiednimi arabski-

mi republikami. Jordania zaczęła uczestniczyć w Lidze Arabskiej, której motorem działania był oczywiście Egipt. Okazało się jednak wkrótce, że antymonarchistyczne nastroje w republikach arabskich, są największą przeszkodą w zbliżeniu Jordanii z innymi państwami arabskimi. Stąd też Husejn szukać zaczął zbliżenia z Fajsałem — królem Arabii i mocarstwami zachodnimi. W czasie ostatnich rozruchów, Fajsal oddał do dyspozycji Husejna, 20.000 żołnierzy saudyjskich. Mimo to jordański władca szukał mocniejszego wsparcia w VI Flocie Amerykańskiej która postawiona została w stan pogotowia i skierowała się na Morze Czerwone.

W ciągu swych kilkuletnich rządów, Husejn npotykał na opory ze strony własnego rządu. Dlatego też zmusił do ustąpienia swego premiera Sulejmana an Nablusi a na stanowisko premiera powołał uległego sobie Wasfi at — Tal.

Husejn Ibn Talal, jest jednym z ostatnich czterech monarchów (Fajsal w Arabii, Idris I w Libii i Hassan II w Maroku), którzy jeszcze opierają się, przy pomocy obcych czołgów i broni, zmianom, jakie następują w tej części świata. (Ch.)



Starzec przed zabytkową bramą

W MIEŚCIE NĘDZARZY

Tuż u bram Paryża, lecz jakże daleko od jego piękna, dostatków, elegancji leży miasto nędzarzy" stworzone przez ojca Piotra. Symetryczne uliczki ogrodzone drewnianymi plotami — 265 domków, w których — żyje, bo żyć musi czterysta rodzin, ponad półtora tysiąca ludzi. Nie są to domki w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Są to baraki, czy bunkry z falistej blachy.

Kim są ludzie tu mieszkający? Skąd pochodzą? Tu nikt nie stawia tego rodzaju pytań. Gdy życie wyrzuciło ich poza nawias przychodzą do osiedla Piotra. Przynoszą węzłki z odzieżą, czasami łóżko i materac, trochę garnków kuchennych i osiedlają się w jednej z chat.

P. B. ma 25 lat. Mąż uległ wypadkowi i wkrótce umarł. B. pracowała, a szef pomagał na swój sposób. Przyszło na świat trzecie dziecko. Chorowała, straciła pracę, nie miała czym zapłacić za mieszkanie. Została eksmitowana i znalazła się w eskimskiej chatce ojca Piotra.

G. 36 lat, córka generała. Po śmierci rodziców wyszła za kapitana. W czasie wojny w Indochinach mąż znalazł inną. Rozwód. G. została z czworgiem dziećmi. Trzeba płacić za dzieci w szkole, a tu przychodzi choroba... Pewnego wieczoru przybyła do osiedla nędzarzy...

Zdrowi z osiedla szukają pracy i czasami znajdują ją przynajmniej dorywczo. Często spotykają się ze wzgardą — jako „banda ojca Piotra”.

Najbardziej nieszczęśliwe są dzieci. Chodzą do szkoły a tam często słyszą od kolegów: — siadaj na brzegu ławki, siadaj tam w kącie i nie rozpuszczaj pcheł ojca Piotra.

Ciężka jest dola starszych żyjących w tym osiedlu, cięższe jeszcze jest życie dzieci...

O to, aby ludzie ci nie utracili wiary w życie i wiary w człowieka zatroszczył się ojciec Piotr. Chciał stworzyć im warunki przetrwania kryzysu. Jego następcą w osiedlu jest ojciec Józef Wrzesiński. Żyje jak jeden z nich — w chatce bez wody, bez gazu, bez podstawowych wygod. Troszczy się, aby zabezpieczyć im choćby minimum egzystencji. Zbiera stare ubrania i datki pieniężne, które umożliwiają zakupienie żywności i węgla.

Parę ofiarnych zakonnice zajmuje się przede wszystkim dziećmi z osiedla, żeby choć w części zapewnić im radość dzieciństwa.

Ludzie z osiedla ojca Piotra nie żądają i nie chcą litości. Pragną normalnego życia, chcą mieć pracę, dom...

Czy przy systemie wyzysku człowieka spełnią się kiedyś ich skromne pragnienia.

Pijaństwo jest w Polsce straszną plagą. W ubiegłym roku wydaliśmy na wódkę 20 miliardów złotych.

Czy wiecie co to znaczy 20 miliardów złotych. Wydatki na oświatę i wychowanie w budżecie naszego państwa określone są sumą 10 miliardów. Komentarz chyba zbyteczny.

Jeszcze jeden przykład. W ciągu trzech kwartałów 1959 r. rolnicy powiatu Pasiek przepili 17 milionów zł., czyli dwa razy więcej niż wynosi roczny podatek gruntowy z tego powiatu, o 4 miliony więcej niż wynoszą wszystkie ich zaległości finansowe.

Zaden czarodziej nie potrafi uczynić bogatym i podnieść stopę życiową narodu, który przepija takie sumy.

Ale alkoholizm — to nie tylko utrata bogactwa. To jednocześnie przyczyna zbrodni, zaniechań w pracy, różnego rodzaju katastrof, bójek, awantur, chuligaństwa. W drugim półroczu 1958 r. w izbach wytrzeźwień przebywało 3.471 młodzieży, w tym 32 osoby w wieku od 12—15 lat, 868 — w wieku od 16—18 lat, 2.571 — w wieku od 18—20 lat.

W pierwszym półroczu 1959 r. skierowano do izb wytrzeźwień 3 tys. młodzieży.

PRZYKŁAD DZIAŁA

Rzecz jasna, że statystyka nie obejmuje całej młodzieży pijącej i upijającej się. Jest raczej tylko drobnym wycinkiem tragicznej rzeczywistości.

Wiele można by wymieniać przyczyn tej prawdziwej tragedii narodowej. Jedną spośród nich jest przykład rodziców. Mówiliśmy już o tym w poprzedniej pogadance. Dziś zwrócimy uwagę na inne fakty z życia naszych rodzin, które zatruwają dusze młodego pokolenia.

Na pięciohektarowym gospodarstwie w okolicach Częstochowy gospodaruje wdowa z dziećmi. Trzynastoletni chłopczyk bardzo dzielnie pomaga w pracy, ale jednocześnie podkrađa u sąsiadów, co się tylko da: siekiere, łańcuch, obroże, drzewko z ogrodu. Matka chwali zaradność synka i wychowuje... złodzieja. Nie żłi i przewrotni koledzy, nie podły opiekun, ale sama matka.

Bywa inaczej. Rodzice nie zachęcają do kradzieży, karzą nawet za kradzież, zwłaszcza jeśli się taki fakt ujawni i poczują się zawstydzeni wobec społeczności, w której żyją, sami jednak nie mają skrupułów, jeśli chodzi o poszanowanie cudzej własności. Dzieci patrzą i prędzej czy później zaczynają naśladować.

Kradzież oczywiście może być różnego rodzaju. Może to być ściąganie snopów zboża z cu-

zdego pola, potajemne wypasanie pastwiska i łaki, przynoszenie narzędzi, materiałów, części z fabryk, okradanie sklepu — na 10 dg kawy. Znamy to z codziennych notatek prasowych, rozpraw sądowych, z codziennych rozmów.

Ustalilo się powiedzenie, że do pensji musi się „dorabiać”, musi się kraść.

Musi się... to znaczy, że innego wyjścia nie ma. Ze zjawisko to jest koniecznością, której nie ma potrzeby się wstydzić. Chodzi tylko o to, żeby kraść mądrze.

Nie analizuję przyczyn tego zjawiska i nie będę w tej chwili pisać o jego szkodliwości społecznej. Chodzi mi tylko o aspekt wychowawczy zagadnienia. Uczciwość we wzajemnych stosunkach między ludźmi, i uczciwość w stosunku do społeczeństwa, do państwa, do przedsiębiorstwa została zachwiana. Dzieci i młodzież wrażliwa na zatrute atmosfery rodzinnej. Przyzwyczajają się do lekceważenia zasady o poszanowaniu cudzej czy społecznej własności. Uczy się kradzieży.

W domu mówi się o sposobach „wymigiwania się” z pracy. Nieuzasadnione zwolnienia chorobowe, fingowanie takich czy innych okoliczności, które upoważniają do otrzymania urlopu, nieuzasadniona absencja w pracy — powodują znowu lekceważący stosunek do pracy u młodzieży. Przykład rodziców przejawia się u młodego pokolenia najpierw w lekceważeniu zajęć szkolnych, w zaniechaniu obowiązków domowych, a później w pracy zawodowej. Kto nie dostrzeżga szkodliwego stosunku do pracy u swego ojca i matki, ten nie nauczy się cenić pracy, nie będzie sumiennym w wykonywaniu swych zadań w przyszłości.

Jeśli w domu rodzinnym mówi się najczęściej o zabawie i rozrywce, jeśli wszystkie plany, które się omawia, dotyczą ułatwienia sobie życia za wszelką cenę, jeśli najwyższym pragnieniem, które wpaja się dzieciom jest posiadanie pieniędzy — to w takiej rodzinie wyrosnąć może tylko szkodnik społeczny poszukujący łatwizny, spekulant żerujący na cudzej krzywdzie, stały lokator barów i knajp. Można się śmiać z Bogo-ojczyźnianych frazesów. Można i trzeba się śmiać, jeśli są tylko frazesami. Ale jest w tym określeniu i treść głębsza i dla wielu ludzi określenie to nie jest frazesem. Katolik ma prawo postawić sobie jako ideał wychowawczy — wychowanie swego dziecka dla Boga i dla Ojczyzny, w wierności dla zasad bożych i w zrozumieniu potrzeby służby dla ojczyzny. Komu nie odpowiada ten ideał, niech sobie postawi inny. Niech to będzie naród, dla którego służba jest świętym obowiązkiem, niech to będzie społeczeństwo, ludzkość, sprawiedliwość, pokój. Ale niech ten ideał będzie. Niech ideałem nie staje się butelka czystej, całonocne podrygiwanie w takt cza-cza-cza, kupa forsy i dziewczka, łatwizna i himbanie. Jakiś wzorcowy ideał musi przyświecać rodzicom w ich trudnej pracy wychowawczej i nie tylko przyświecać: ich postawa życiowa musi być odbiciem tego ideału. Zły przykład rodzi złe owoce. (W)



Rozmyślania przy kominku

Poczucie odpowiedzialności

Jest rzeczą bezsporną i potwierdzoną przez statystykę, że przyrost naturalny w naszym kraju, w porównaniu do lat ubiegłych, wydatnie się zmniejszył. Zjawisko nazwane wyżem demograficznym ustąpiło i obecnie ilość dzieci w poszczególnych rodzinach ma stałą tendencję utrzymania się w granicach rozsądku. Niewątpliwie na fakt ten wpłynął cały szereg czynników, z których na pierwsze miejsce wysuwa się, wprawdzie jeszcze powolny, lecz stały wzrost ogólnego poziomu naszej wiedzy o celach i znaczeniu rodziny oraz o zasadach jej rozsądnego planowania.

Ogólne założenie leżące u podstaw, tej mającej tak kapitalny wpływ i znaczenie dla całokształtu naszego życia, dziedziny — jest, lub powinno przynajmniej być dla każdego z nas jasne i zrozumiałe. O cóż bowiem ostatecznie mówiąc bardzo prosto, chodzi? Odrzućmy na chwilę wszelkie naukowe cyfry i rozważania, zapomnijmy o plotkarskiej, niepoważnej i powiedzmy, niezdrowej aurze — jaka w pewnych kręgach jeszcze do dziś to zagadnienie otacza i postarajmy się tak zwyczajnie, po prostu odpowiedzieć na to pytanie.

Odpowiedź, wbrew pozorom i narosłej legendzie — jest bardzo prosta. Rozsądne planowanie rodziny i zasadnicza wiedza o jej celach i zadaniach, to sprawa, średnio 3/4 naszego osobistego życia, jeżeli będziemy rozpatrywać tę kwestię począwszy od chwili założenia przez nas własnego ogniska domowego.

Czegoż bowiem oczekujemy w marzeniach od swej przyszłej rodziny? Chcemy stworzyć sobie własne miejsce w świecie, zabezpieczone i spokojne, gdzie w zgodzie, przyjaźni i wzajemnej tolerancji będzie przebywać kilkoro ludzi w różnym wieku. Ludzi najbliższych sobie, mogących w każdej sytuacji liczyć na siebie wzajemnie, otaczających się wspólnie troską i opieką, znajdujących zrozumienie zarówno dla swych radości jak i słabości i błędów. W rodzinie już od samego początku ścierają się różne indywidualności, wpływają na siebie i (nie obawiajmy się tego słowa) wzajemnie wychowują i kształtują zarówno w dobrym jak i złym znaczeniu tego słowa. Z biegiem czasu rodzina wytwarza wspólny, właściwy dla siebie styl życia, zbiór zwyczajów i nawyków, linię postępowania i występowania na zewnątrz. Jest w każdym calu prawdziwą, naturalną najmniejszą komórką społeczną, gdzie indywidualne cechy i cele przerażają się w cechy i cele wspólne.

Rodzina, nasz dom, jest miejscem, gdzie, jak nigdzie na świecie możemy być sobą! Zdejmując w przedpokoju płaszcz oraz zmieniając obuwie na wygodne domowe kapcie — niejako odrzucamy również naszą zawodową pryncypialność i psychiczny rymstunek jakie przybieramy wśród ludzi i w miejscu pracy. Tu, w domu, energiczny majster, może bez obawy utraty autorytetu, okazać się potulnym małżonkiem pozostawiającym większość decyzji żonie, a cichutka, skromna pracownica księgowości, prawdziwą „królową” swych pieleszy.

Czas — jaki spędzamy tutaj w kręgu rodziny, może się stać czasem regeneracji naszych sił, źródłem odprężenia psychicznego i zadowolenia wewnętrznego — lub też, przy niewłaściwym ustawieniu wzajemnych stosunków — okresem w którym wybucha nagromadzone przez cały dzień i hamowane roz-

drażnienie, a człowiek daje upust irytacji. Wszelkie drobne kłopoty i białe konflikty urastają wówczas, do istic kosmicznych rozmiarów, a wymarzony „azy!”, staje się prawdziwym „rodzinnym piekiełkiem” powszedniego dnia.

W tym układzie kwestia posiadania i ilości dzieci ma zasadnicze znaczenie. Każde dziecko, przyszyły nowy członek naszej rodziny winien być serdecznie przyjęty jak ktoś, kto zapowiedział swoje przybycie i czeka aż gospodarze przygotują wszystko na jego przyjęcie. Coraz częściej zdarza się, a nawet powiedzmy sobie, staje się coraz powszechniejszym fakt, że przyszyłe czy młode małżeństwo planując swój dom, urządzając mieszkanie od razu przeznacza miejsce na kącik czy nawet pokój dziecienny. Już od początku planuje się odpowiednie mebelki i przyszła, choć dopiero potencjalna matka już zawczasu przygotowuje się na przyjęcie dziecka. Pozwala to młodemu małżeństwu na dorobku uniknąć wielu kłopotów finansowych, rozłożyć wydatki w czasie i zabezpieczyć się przed wielu przykrymi niespodziankami.

W takiej rodzinie, dzieci są „chciane”, oczekiwane — i nie wahać się użyć tego słowa — zaplanowane, stając się tym samym dodatkowym źródłem radości, ogniwem jeszcze bardziej spajającym rodzinę, upiększającym życie i kimś kto jednocześnie bierze i daje. Biorąc troskę, opiekę i staranie, daje w zamian zwiększone poczucie odpowiedzialności u rodziców, bodźce do coraz pełniejszego rozwoju rodziny, cel w życiu i atmosferę prawdziwie rodzinnego szczęścia.

Ten idealny niemal obraz jaki nakreśliłimy powyżej ma realne szanse urzeczywistnienia się w życiu, pod jednym zasadniczym warunkiem — aby dwoje ludzi zakładających rodzinę posiadało wiedzę o jej znaczeniu i celach, dobrą wolę i przy wzajemnej miłości odrzuciło ze swych wzajemnych stosunków czynniki przypadku, lekkomyślności i — jakże częste sformułowanie — „jakoś to będzie”.

Niestety, nie zawsze tak bywa. Wiele młodych małżeństw zawartych właśnie wbrew powyższemu często nie wytrzymuje próby życia kończąc swój żywot na sali sądowej wśród wzajemnych wyrzutów i oskarżeń. Pół biedy gdy chodzi tylko o współpartnerów. Wówczas bowiem możemy się jeszcze ludzić, iż potraktują nieudany związek głównie jako gorzką naukę na przyszłość. Gorzej gdy w grę wchodzi dziecko lub dzieci — wówczas rozpoczyna się dramat. Są dramaty małe, codzienne i wielkie, są ciche, prawie niedostrzegalne i głośne, o których się mówi i pisze. Każdy z nich jednak mimo swej formy pozostaje dramatem — dramatem małego człowieka bez żadnej winy, którego pozbawiono tego co jest mu do życia i rozwoju niezbędne — atmosferę własnego domu i miłości najbliższych.

W ubiegłym roku prasa odnotowała następujące wydarzenie. Na jednym z warszawskich podwórek znaleziono około półtoraroczną zapłakaną dziewczynkę. Małą umieszczono w Izbie Dziecka MO i radio a następnie telewizja i prasa codzienna zamieściły komunikat, poszukując rodziców lub opiekunów dziecka. Przez kilka dni nikt się nie zgłaszał. wreszcie okazało się, iż dziewczynka została porzucona na ulicy przez własną matkę.

Sledztwo, a następnie rozprawa sądowa która miała miejsce jako epilog tego wypad-

ku ujawniły, że dziewczynka bynajmniej nie była jakąś opuszczoną „sierotką” — lecz miała matkę i ojca, brata-bliźniaka oraz dwie babcie, tę od taty i tę od mamy — nie miała jednak... domu. Matka po prostu pozostawiła ją na nieznanym podwórzu jednej z warszawskich dzielnic, gdyż jak sama oświadczyła — nie wiedziała co ma z nią zrobić.

Nie chcąc streszczać szczegółów znanej zresztą sprawy, chcielibyśmy zastanowić się nad kilkoma jej aspektami.

Rodzice dziewczynki, nazwijmy ją Martą, nie mieszkają wspólnie. Niemal natychmiast po urodzeniu dzieci-bliźniąt rozeszli się i każde z nich zamieszkało u swoich rodziców. Jedno z bliźniąt (chłopca) zabrała matka, a dziewczynkę miała (podobno) wychowywać teściowa. Wszyscy zainteresowani mają trudne warunki mieszkaniowe i rodzinne i żadne z nich nie poczuwa się do odpowiedzialności za los małej Marty.

Ojciec, elektryk z zawodu, jak się wydaje, nie widzi tutaj żadnego problemu. Małżeństwa swoje — a było ich jak dotąd dwa — traktował jak wskazują fakty, chyba jak coś w rodzaju miłostek bez żadnych zobowiązań. Żenił się, nie pracował, pozwalając utrzymywać się żonie, a następnie odchodził z chwilą pojawienia się dziecka. Małżeństwo jego z matką Martą już od początku nie układało się najlepiej, a o tamtym pierwszym związku wiemy tylko tyle, iż zakończył się aresztowaniem delikwenta za niepłacenie alimentów.

Matka — dwudziestokilkuletnia kobieta, urzędniczka z zawodu jest bezradna wobec zerwania lekkomyślnie zawartego małżeństwa i obowiązków przekraczających jej przygotowanie do życia. Bliźnięta, jak się można domyślać, to o wiele za dużo na jej wyobraźnię. Jedno, szczęśliwie zgodziła się wychować matka, z drugim, po prostu nie wie co ma zrobić. Trudno zrozumieć drugiego człowieka, dlatego nie silimy się na dociekania, czy pozostawiła małą Martę na tym podwórku, z rozpacz, z bezradności, może z nadzieją, że jak w filmie nagle zajędzie piękny samochód prowadzony przez spragnioną dziecka milionerkę, która uwiezie je w „sina dal”, czy... też miała już dosyć szarpania się między własną matką a teściową, z których żadna nie chciała zająć się dzieckiem i dosłownie uciekła od (żywego w tym wypadku) kłopotu, myśląc „jakoś tam będzie”.

A obie babki, ta od taty i ta od mamy, przerzucając się małą Martą jak piłką w myśl maksymy „podaj dalej” i biadając zapewne, każda z osobna, nad nieszczęściem jej własnego dziecka — czyż nie zastanowiły się czasem, że istnieje takie słowo „odpowiedzialność” i że dzieciom, potencjalnym przecież, a w ich wypadku faktycznym rodzicom — trzeba je wpaść już od dzieciństwa?

Przeraża nas nieuczulość matki na los dziecka, jej obojętność na to co je spotka. Małe, bezradne, samotne w wielkim mieście, gdzie każdy krok (dosłownie krok na jeźdźnię) mógł skończyć się kalectwem lub śmiercią. Jeszcze bardziej jednak (o ile to możliwe) przerażał nas fakt, że do samego końca już na sali sądowej nie pojęła wagi swego czynu, że nie rozumiała co uczyniła. Ale czy tylko ona?

Czyż wszyscy uczestnicy tego — nie wahać się użyć słowa — dramatu, zdali sobie sprawę jakie role w nim odegrali? I czy wypadek ten nie jest najlepszym argumentem na korzyść głównej tezy tych rozważań?



Ci bowiem spodziewali się głównego uderzenia na Warszawę od czoła, z rejonu wyzwolonej już 15 września 1944 r. Pragi, nie zabezpieczając się należycie od skrzydeł.

12 stycznia 1945 r. rusza z przyczółka sandomierskiego, potężne uderzenie Armii Radzieckiej, a w dwa dni później, 14 stycznia rozpoczyna się sama operacja warszawska, przybierając charakter dwustronnego uderzenia oskrzydłającego wyprowadzonego z rejonów: Modlina na północy i Warki na południu. Wykrzystując wstępne powodzenie nacierających na głębokie zaplecze Warszawy wojsk radzieckich: 47 i 61 armii, ruszają w dniu 16 stycznia do szturmie skoncentrowane na obu skrzydłach ugrupowania uderzeniowe 1 Armii Wojska Polskiego.

Jako jedni z pierwszych idą do ataku ułani 2 i 3 pułku forsując Wisłę w rejonie Karcewa. W ślad za nimi przeprowadzają się pozostałe oddziały 1 Brygady Kawalerii, rozwijając pomyślnie dalsze natarcie. Tymczasem w nocy z 16 na 17 stycznia oddziały zgrupowania południowego forsują Wisłę również w rejonie Góry Kalwarii. Natarcie na Warszawę jest już w pełnym toku. Na lewym

brzeżu przez samego Hitlera, ale w większości wypadków na odebranie opuszczonych już stanowisk było za późno.

Już wczesnym rankiem 17 stycznia żołnierze 2 dywizji piechoty 1 AWP rozpoczęli bezpośredni szturm Warszawy od północy, i osiągnęli około godziny 10.00 rejon Żoliborza, rozpoczynając walki uliczne z oddziałami osłonowymi nieprzyjaciela. W tym samym czasie forsuje Wisłę, atakując od czoła 6 DP. Działający na jej prawym skrzydle 18 pułk piechoty nawiązuje łączność bojową z oddziałami 2 DP nacierającej od strony Żoliborza tocząc wraz z nimi walki o oczyszczenie z wojsk nieprzyjacielskich ulic: Kamedułów, Marymonckiej i Stołecznej. Pozostałe jednostki 6 DP uderzyły na Śródmieście, atakując je od wschodu i południowego wschodu. Lodowa pokrywa Wisły zaroila się od zielonych mundurów. Żołnierze polscy mimo silnego ognia zaporowego wroga szli naprzód, ciągnąc za sobą działa i ciężki sprzęt, nieodowny w walkach ulicznych. Początkowo próbowały interweniować samoloty hitlerowskiej Luftwaffe, atakując z powietrza przeprowadzające się przez rzekę oddziały polskie,

SILNIEJSI OD

Był rok 1945. Większa część Polski znajdowała się jeszcze pod hitlerowską okupacją. Tęgi, siarczysty mróz skuał ziemię, nekając dotkliwie zabiedzoną ludność. Na froncie zastygłym jeszcze jesienią ubiegłego roku, panował chwilowo spokój. Wygasły już uporne zgliszcza Warszawy, wołając o pomstę wznoszącymi się ku niebu kikutami wypalonych kamieniczek i zburzonych gmachów. Wolność była już tuż, tuż, ale potężny, wiążący olbrzymią większość sił hitlerowskich front wschodni wciąż jeszcze milezał na wzór zastygłego wulkanu, szykującego się do nowego straszliwego wybuchu.

Ten pozorny spokój panował i na odcinku warszawskim. Ale był to tylko pokój chwilowy i złudny. Szykujące się do nowej ofensywy oddziały Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego, przygotowywały się już do wykonania planu operacji warszawskiej, planu, który zaskoczył miał całkowicie Niemców.

brzegu Wisły w rejonie Kępy Kiełpińskiej w dniu 16 stycznia żołnierze polskiej 2 DP, utworzyli do wieczora tegoż dnia groźny dla wroga przyczółek mostowy w rejonie wsi Łomianki. Błyskawiczny sukces osiągnięty przez wojska radzieckie i polskie nacierające od południa i północy na Warszawę i jej głębokie zaplecze, zaskakuje całkowicie nieprzyjaciela, powodując panikę w jego szeregach. Już w nocy z 16 na 17 stycznia wróg rozpoczyna pospieszny odwrót na zachód, porzucając przygotowane uprzednio, silnie umocnione stanowiska obronne nad Wisłą. Co prawda rozkaz opuszczenia bez walki „twierdzy Warszawa”, wydany przez ostatniego komendanta wojskowego stolicy gen. F. Webera i zatwierdzony przez szefa oddziału operacyjnego OKH płka Bonina i jego współpracowników płka Knesebecka i płka Vhristena (za co oddano ich później pod sąd wojenny oskarżając o spowodowanie klęski w rejonie Warszawy), odwołany został oso-

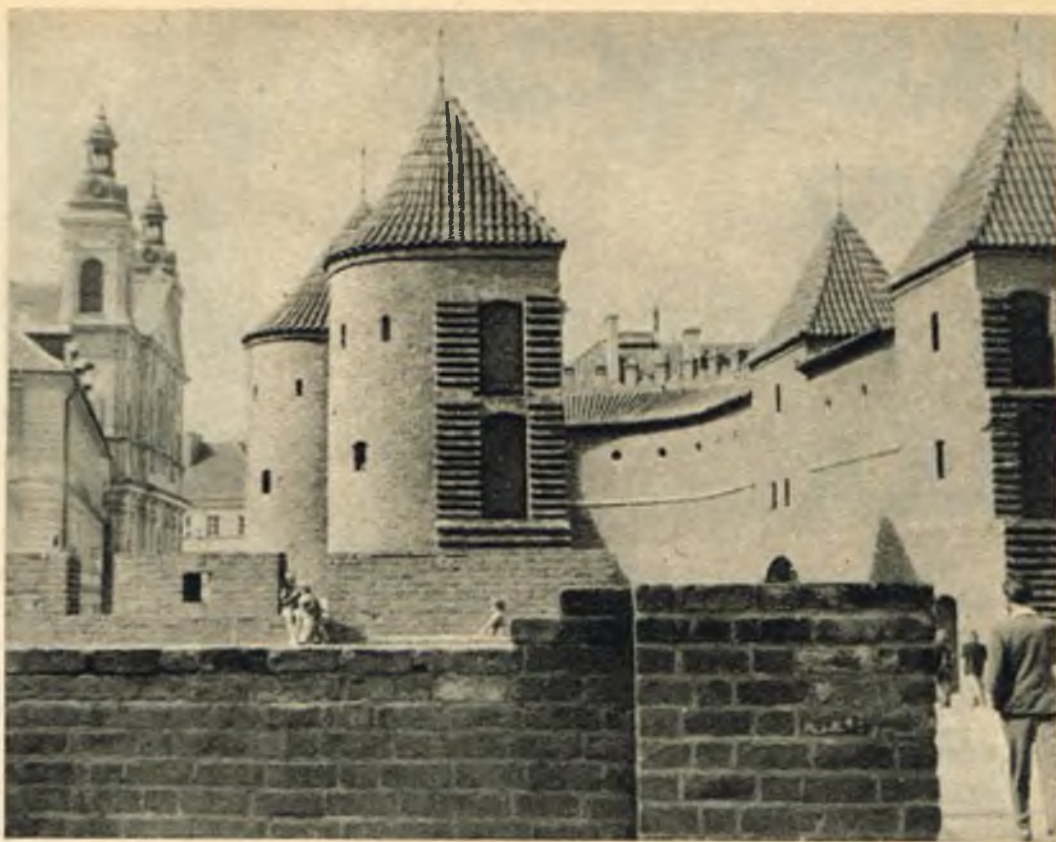
ale szybko zmuszone zostały do ucieczki przez polskie myśliwce z 1 dywizji lotniczej. A tymczasem natarcie polskie rozwijało się pomyślnie dalej. Przez morze ruin Powiśla i Alei Jerozolimskich przedzielali się ku bronionej przez hitlerowców linii Nowego Świata, łamiąc po drodze opór wroga. Żołnierze 16 pułku piechoty 6 DP. Zaś żołnierze 14 pułku piechoty tej samej dywizji, nacierające od strony Wału Miedzeszyńskiego, wyzwalają w tym samym czasie Wilanów, Czerniaków i Sienkierki, rozpoczynając boje uliczne na Mokotowie. Do szczególnie zaciętych walk z oddziałami hitlerowskich fizylierów dochodzi w rejonie ulicy Podchorążych. Wróg wciąż jeszcze jest groźny, starając się zniszczyć ostatnie, ocalałe jeszcze obiekty i zabytki Warszawy. Stąd żołnierz polski musi nie tylko walczyć, ale i ratować przed zniszczeniem wszystko to, co można było jeszcze ocalić przed furją dobijanego wroga. I tak oto nacierający wraz z 14 pułkiem piechoty saperzy polscy wykrywają w porę i przecinają kable wysokiego napięcia, przygotowane przez hitlerowców do wysadzenia w powietrze Belwederu. Walki na Mokotowie i w pozostałych rejonach południowych dzielnic stolicy należały do jednych z najbardziej zaciętych. Walki uliczne toczyły się na ulicy Rakowieckiej, na Placu Unii Lubelskiej i Polu Mokotowskim. Ostatecznie jednak opór hitlerowców usiłujących za wszelką cenę utrzymać w swych rękach linię ulic: Wawelskiej i Filtrowej zostaje złamany.

Mijały godziny. Do stolicy zbliżały się już nacierające od strony południowej z rejonu Góry Kalwarii siły główne 1 AWP. Jednocześnie postępy natarcia wojsk 61 i 47 armii radzieckich zmuszają Niemców do podjęcia generalnego odwrotu. W ten sposób w południe 17 stycznia 1945 r. na ulicach Warszawy pojawiają się też i żołnierze 3 DP. Nieco później bój o stolicę rozpoczynają czołgiści 1 Brygady Pancerniej im. „Bohaterów Westerplatte” i ułani 1 Brygady Kawalerii. Walki uliczne o Warszawę trwały jeszcze przez kilkanaście godzin, by ustać wreszcie po całkowitym oczyszczeniu miasta z sił wroga w dniu 18 stycznia. Teraz do akcji wchodzi saperzy, przystępując do rozminowywania miasta jak też budowy pierwszego mostu przez Wisłę, tak osławionego później „pontoniaka”. Wojska radzieckie i polskie nacierały zaś dalej, ścigając uchodzącego w kierunku na Sochaczew nieprzyjaciela. Warszawa była już wolna. Wraz z wolnością wracało do umęczonej stolicy życie.



„19 stycznia — wspomina te dni ówczesny dowódca 1 AWP gen. Stanisław Popławski — dymiły jeszcze zgłiszczca. Gdzieś pod Błoniem. Pruszkowem i Sochaczewem dudniła ziemia od wybuchów bomb i pocisków artyleryjskich, a w Warszawie, w siedzibie prezydenta miasta, pułkownika Spychalskiego, odbywało się historyczne posiedzenie Prezydium Krajowej Rady Narodowej. Zostałem na nie zaproszony. (...) Tam zapadła decyzja, że pomimo zniszczeń stolicą Państwa Polskiego pozostanie Warszawa”.

Tego też dnia odbyła się w wyzwolonej stolicy pierwsza defilada Wojska Polskiego. W Alejach Jerozolimskich w pobliżu ruin Dworca Głównego postawiono trybunę udekorowaną biało-czerwonymi flagami i umieszczonym na ich tle wielkim Białym Orłem. Trwająca półtorej godziny defiladę oglądało już ponad 10 000 warszawiaków, którzy niemal że natychmiast po wyzwoleniu miasta, nie wiadomo skąd i jak powrócili do ruin i zgłiszcz swego ukochanego miasta, z gorącym zdecydowaniem przywrócenia stolicy życia i jej dawnej świetności.



ŚMIERCI

W dniu 19 stycznia 1945 r. w obróconej w perzynę przez barbarzyńskiego okupanta stolicy, w ruinach i zgłiszczach znalazło się ponad 10 000 ludzi, gotowych na wszystko byle tylko ich miasto mogło zacząć od nowa żyć i rozwijać się wbrew wyrokowi śmierci wydanemu nań przez hitlerowski faszyzm. Początkowo było ich tylko 10 000, ale z każdym dniem przybywało śmiazków. Wracali z wygnania, z przymusowej tułaczki, z hitlerowskich obozów zagłady, z niemieckiej niewoli. Wracali z bliska i z daleka, mimo ostrzeżeń i tłumaczeń, iż nie mają już gdzie wracać, gdyż z Warszawy nic już właściwie nie zostało, nie ma tam mieszkań, nie ma pracy. Ale słowa te nie powstrzymały ich, choć wiedzieli jak bliskie są prawdy. Mimo siarczystego mrozu ku Warszawie ciągnęły zewsząd nieprzeliczone tłumy warszawiaków. Przeważnie szli pieszo całymi rodzinami, ciągnąc ze sobą ręczne wózki, rowery, riksze załadowane smutnymi resztkami ocalałego dobytku. Ci ze wschodu przeprawiali się przez Wisłę nie obawiając się przejścia przez tafel lodową szerokiej rzeki. To co zastawali w swym mieście nie mogło napawać optymizmem. Tu i ówdzie płonęły jeszcze domy. Swąd spalenizny łączył się z trupim odorem rozkładających się zwłok. A mimo to szli nieustannie, przedzierali się poprzez zawałone gruzem ulice, szukali choć jakiegś ocalałego ścian czy całego stropu, które mogły dać tymczasowe schronienie. Tu i ówdzie uda-

wało się im znaleźć jakiś ocalały dom lub kamienicę. Ale tych szczęściarzy było niewiele. Reszta musiała się rzeczy znajdować schronienie w ruinach, czy lepiej zachowanych piwnicach.

Były to trudne, ciężkie dni, gdyż niełatwo było przekonać już choćby tylko siebie, że miasto, którego już właściwie nie było, może rozpocząć życie od nowa, że to miasto może być jeszcze stolicą państwa, że może być

znów tym, czym było dawniej. Ale partia i rząd odpowiedziały na to pytanie jednoznacznie.

„Warszawa jest i pozostanie stolicą Polski Ludowej” — głosiły pierwsze odezwy nowych władz państwa i stolicy. I to wysokie, oficjalne — „Tak”, znajduje z miejsca poparcie całego narodu, zostając potwierdzone gorącym przywiązaniem do swego miasta tysięcy warszawiaków, którzy bez najmniejszego



wahania postanawiają uczynić wszystko co tylko będzie możliwe dla przywrócenia życiu stolicy wykreślonej przez hitlerizm z mapy Europy.

Dziś z perspektywy lat pełnych pracy nad odbudową a następnie rozbudową stolicy, każdy warszawiak z dumą może rzucić okiem wstecz, wracając pamięcią do owych tragicznych dni stycznia 1945 r., kiedy to nie wiadomo było od czego należy właściwie zacząć, za co się chwytać, by przywrócić Polsce i jej stolicy to, co dał jej niegdyś dorobek wielu pokoleń i setek lat historii. Podkreślając patriotyczną wolę walki o wolność ludu Warszawy i nie mniejszy patos odbudowy, nie wolno pominąć milczeniem i tej prawdy, którą Warszawa zadokumentowała swą historią całemu światu — prawdy dowodzącej niezbicie, iż zawsze życie jest silniejsze od śmierci, a umiłowania wolności najmniejszego nawet narodu nie da się nigdy zdławić przy użyciu siły i najbrutalniejszej nawet przemocy.

FRANCISZEK BERNAŚ

TAJEMNICZA ŁÓDZ W PORCIE PUŁA

W nocy z 13 na 14 maja 1918, wartownik stojący na cyplu długiego portowego mola w Pułi, usłyszał od strony ruchomej przeszkody dziwny szmer. Noc była pogodna choć bezksiężycowa, fala niewielka, a wiatr słaby. Toteż szmer słyhać było coraz wyraźniej.

Zaintrygowany Austriak, nie mogąc opuścić stanowiska, przywołał jedną ze strażniczych motorówek, polecając jej zbadanie tego, co się w systemie zaporowym dzieje. Motorówka popłynęła we wskazanym kierunku.

— Ich melde, Herr Fregattenleutnant, łódź jakaś tkwi u zewnętrznej zapory!

— Rzeczywiście. — odpowiada porucznik. — Ale za małe to na nurkowiec, a za duże na szalupę. Może jakąś pinassa urwała się makaroniarzom podczas ostatniej burzy i aż tu ją przyniosło.

— Nie wydaje mi się! — mówi stary bosman. — Wszak tkłoby o zaporę, a ta bestia tkwi sztywno, jak lalka.

— Może utkwiała nosem w belkach. Trzeba się przekonać! Weź kurs na przejście C.

W tej chwili okrzyk trwogi i zdziwienia wrywa się z ust załogi. Tajemnicza łódź unosi się i wspina dziobem do góry, jakby jakaś czarodziejska siła wypchnęła ją z wody.

W mrokach nocy widać jej fantastyczną sylwetkę, odrzynającą się wyraźnie na tle granatowego nieba. Jest coraz wyżej. Pnie się wytrwale ku górze. Jedyne rufa opiera się w wodzie, podczas gdy cały kadłub sterczy wysoko w powietrzu.

— Czary, czy co? — mruczy bosman, żegnając się.

A tymczasem tajemnicza łódź całkowicie wyłania się z wody i z chrzęstem wspina się na zaporę. Mija minuta osłupienia. Trzask łamanych belek, kilka zgrzytów, plusk, i widziadło, przebywając pierwszą linię przegród, kołysze się na wodzie po jej wewnętrznej stronie.

— Herr Je! — woła po chwili jeden z majtków. — Włazi na prze-grodę nr 2.

Działo się to podczas pierwszej wojny światowej. Austriacy zabarykadowali wejścia do portów śródziemnomorskich rzędami min, łańcuchów, belek, sieci ochronnych. Za tę zaporę, której nie ośmielił się forsować żaden nieprzyjacielski statek, schroniła się austro-węgierska flota.

Ale nieprzyjaciel (Włosi) nie dawał za wyraną...

Rzeczywiście łódź, jak konik polny, przeskakuje zapory jedną po drugiej. Jeszcze chwila i będzie w porcie.

Ale porucznik ochłonął już ze zdziwienia. Przez szkła nocne widzi dokładnie, co się święci.

— Reflektor! — woła — i ognia, czym prędzej!

Smuga białego światła muska poczworną linię przeszkód. Na trzeciej z nich zatrzymuje się i ukazuje oczom marynarzy dziwne potwora. Jest to kadłub zwykłej motorówki, zaopatrzony z obu boków w gąsienice czołgu. Nic dziwnego, że bestia i pływa i przebywa przeszkody.

Właśnie pnie się na czwartą zaporę. Widać wyraźnie, jak gąsienice pracują, unosząc łódź ku górze. Karabin maszynowy motorówki poczyna klekotać. Czy nie za późno? Czołg wodny jest już po drugiej stronie zapory.

Ale alarm jest zarządzony. Ze wszystkich stron portu nadbiegają motorówki, torpedowce, okręty strażnicze. Reflektory krzyżują swe białe pasma, czyniąc z nocy jasny dzień. Armaty i karabiny maszynowe grają, ile wlezie.

Komendant wodnego czołgu, kapitan Pelligrini, widzi, że nie ujdzie. Jego „Grillo” zanurza się wprawdzie znów w wodzie, ale kule i pociski armatnie syją się zewsząd. Najważniejszy czynnik powodzenia — zaskoczenie, stracony bezpowrotnie. O wysadzeniu w powietrze okrętów austriackich nie może być mowy. Trzeba tylko czuć, aby „Grillo” nie dostał się do rąk wroga.

Pelligrini otwiera przyrząd zatapiający, po czym sam nastawia mechanizm zegarowy bomb. „Grillo” tonie i wubucha pod wodą. Tajemnicę swej konstrukcji zabiera z sobą, w państwo Neptuna...

Kapitana Pelligrini i jego trzech towarzyszy wyławia z wody austriacka szalupa i przewozi na pokład pancernika „Viribus Unitis”. Mimo odniesionego sukcesu, konsternacja jest olbrzymia. Austriacy obawiają się ponowienia podobnych usiłowań. I słusznie.

(c. d. nastąpi)

K.H. ROSTWOROWSKI

A gdy się narodził...

*A gdy się narodził ludziom Bóg,
odświętnie się ludzie ubrali,
włożyli na siebie, co kto mógł,
i wstążki i sznury koralu,
na wozy zwałili zboża stóg,
bydłęta z pastwiska zegnali,
i biegli, okrutny czyniąc huk,
i wielcy, i średni, i mali.*

*I wielcy mówili: „Ha, no... Pan.
Podeprze nam dwory złocone!” —
A średni mówili: „Cieśli stan
w średniaków obróci się stronę!” —
A mali mówili: „Ponoć dan
maluczkim na wieczną obronę!”
I każdy mu wtykał pełny dzban
i jajka i placki słodzone.*

*A Jezus w żłobeczku spał i spał,
jak gdyby nie było nikogo.
A Józef staruszek wciąż się śmiał
i kijem wywijał złowrogo.
A śliczna Panienska, jakby szal
Józefa tak wstrząsnął niebogą,
rzuciła do kąta, co kto dał,
wzdychając: „Zrozumieć nie mogą!”*

*„A cóż to, Panienko?! Mało jej?
Za chude barany? koźlęta?!
Tu chwasty i ciernie! Tu nie raj!
Niech sobie to Jezus pamięta!” —
A oto jakowyś nędzny graj
zawołał: „Dziecino ty święta! —
Ludowi serduszko Twoje daj!” —
I Jezus otworzył oczęta.*

Bartłomiejowa gadka

KUNDLE IDĄ W GORĘ

Mam ja, moi kochani, pieska. Wabi się Burek i jest najbardziej autentycznym kundlem. Stuprocentowym. Nie ma w nim ani kropli krwi z psiej arystokracji. Talentów żadnych, przez całe swoje życie, Burek także nie ujawnił. Więc wiecie swój spokojny żywot w psiej budzie, śpi albo poszczekuje, gdy się zdenerwuje albo gdy go nuda ogarnie... Zawsze myślałem, że ten mój Burek nie wart złamanego szeląga — ot taka psia oferta. Aż tu przychodzi do mnie pan Benek Walizka i powiada:

— Panie Oczo, sprzedaj mi pan swojego pieska.
— A po cóż panu, panie Walizka, taki zwyczajny piesek?
— Niech pan nie pyta, tylko sprzedaje — zniecierpliwil się kupiec.

Zaciekawiła mnie niebывala propozycja i zapytałem.

— Ile mi pan gotów za niego zapłacić?
— Trzy patyki — wypalił pan Benedykt.
— Pół krowy tyle kosztuje — zauważyłem uczciwie.
— Nie przeszkadza. Dają trzy tysiące i litkup stawiam.

Podrapałem się za uchem, popatrzyłem na małżonkę i pomyślałem w głębi ducha, że w ofercie pana Benedykta kryje się jakaś tajemnica. Kto wie — myślę może Burek nalykał się kiedyś złota z brylantami, a pan Benek wie o tym, kupi Burka, ukatrupi go i z Burkowego żołądka wyjmie wielki skarb. „Nie bądź głupi” — słyszę jakiś wewnętrzny głos. Powiedziałem więc kupcowi:

— Mój panie Walizka, po co się mamy śpieszyć, odłóżmy sprawę do jutrzejszego wieczoru. Przywiązałem się do Burka i żal mi, tak od ręki, go sprzedawać...

— Tak, tak, tak — momentalnie poparła mnie małżonka, mrugając porozumiewawczo.

Nazajutrz razem z małżonką wzięliśmy Burka na postronek i z wszystkimi honorami, należnymi wielkim skarbowi, zaprowadziliśmy do weterynarza, żeby mu rentgenem brzuch

prześwietlił. Weterynarz prześwietlił pieska fachowo i orzekł:

— Żadnych zmian nie stwierdziłem.
— A czy w brzuszku nie ma jakichś kruszców lub kamieni? — zapytałem drżąc z przejęcia.
— To nie kura, panie Oczo — odparł lekarz — i kamieni nie łyka.

Przyszedł pan Walizka. Położył sześć „brudasów” na stole i powiada:

— No, jak?
— Sprzedajemy Burka — westchnąłem, niby to żałośnie i zgarnąłem banknoty.

Straszna ciekawość korciła mnie przez kilka dni, dlatego pan Walizka tyle zapłacił za naszego kundla, a ciekawość moja wzrosła jeszcze bardziej, kiedy małżonka przyniosła wiadomość, że w całej okolicy kundle okropnie podrożały, bo je jacyś eleganccy panowie na gwałt wykupują i płacą za nie coraz lepiej. Postanowiłem stać się detektywem i zacząłem śledzić pana Benia Walizkę. No i wyśledziłem.

Okazało się, że pan Benio i jedenastu takich jak on elegantów co noc wyjeżdżają motocyklami w świat. Każdy z nich wiezie kundle na bagażniku. Potem roztawiają się ci panowie w polu i puszczają w ruch motocyklowe reflektory. Reflektory zwabiają zajęczki. Gdy się zajęczki pojawią pan Benio z przyjaciółmi tak kręca reflektorami, żeby zajęczki oślepić i wypuszczają na nich kundle. Kundle pędzą wielką sforą i łapią zajęczki, duże, małe, średnie i takie zajęcze dzieci. Bardzo to mądry sposób takie zmotoryzowane polowanie, prawda, moi kochani?

Wyśledziłem też, że pan Walizka ze swymi przyjaciółmi rzucili posady, bo nowoczesne polowania bardzo im się opłacają. Małżonka moja złapała się za głowę, gdy jej o tym opowiedziałem.

— Nasz Burek, który przez całe życie był porządnym pieskiem, nie będzie rozbójnikiem — wołała w gniewie. Pobiegła do pana Walizki, oddała mu pieniądze, zabrała Burka i z powrotem umieściła go w budzie. Pochwaliłem jej decyzję.

Ale jak to moi kochani, zrobić, żeby pan Benio Walizka i jego przyjaciele przestali być rozbójnikami? Bo, wierzę mi, wynalazek zmotoryzowanych łowów nie jest moim wymysłem i rozpowszechnia się w naszym kraju.

BARTŁOMIEJ OCZKO

Bliskie i dalekie

Jeti, domniemany człowiek pierwotny z gór azjatyckich, zwany także „ałmasem” lub „człowiekiem śniegu”, był przed kilku laty bohaterem wielu poważnych artykułów i mniej poważnych spekulacji, po czym znowu poszedł w zapomnienie. Jednakże wszystko wskazuje na to, że lata niełaski ustępują okresowi nowej popularności: w poważnej prasie różnych krajów pojawiają się artykuły i notatki broniące hipotezy o istnieniu tego dziwnego stworzenia.

Jeden ze zwolenników tej hipotezy, uczonego mongolskiego, prof. B. Rincen, zamieścił obszerny wywód jetiologiczny w słowackim miesięczniku „Przyroda i Społeczeństwo”. Rincen opisuje wypadki natknięcia się podróżników i uczonych na dzikie istoty czelkopodobne, przypominające ludzi prehistorycznych. Spotkania te są świeżej daty, z ostatnich kilku lat.

Artykuł Rincena nosi tytuł: „Ałmas — dziki człowiek z pustyni Gobi”. Profesor pisze: „Rozporządzam wielu nowymi relacjami świadków, którzy spotkali te istoty na terytorium Mongolii. Obszar przez nie zamieszany jest bardzo niewielki, jego powierzchnia wynosi zaledwie 1 000 km². Dlatego też można obawiać się, że wkrótce ałmasy wyginą całkowicie”.

Miesięcznik zamieszcza pięć zdjęć czaszki znalezionej w zachodniej Mongolii. Prof. Rincen sądzi, że jest to czaszka ałmasy.

☆

Jak głębokie są kratery na Księżycu, do których pierwsi lunonaucci mogą wpaść przez pomyłkę? Uчені amerykańscy ustalili, że w pewnych kraterach różnica poziomu pomiędzy dnem a grzbietem wynosi aż 6 m. Pomiaru te przeprowadzono za pomocą lasera. Cienką wiązkę światła laserowego wycelowano najpierw w grzbiet, a potem w dno krateru. Na podstawie różnicy w czasie odbioru echa laserowego z tych dwóch punktów obliczono różnice wysokości. Poprzednie po-

miary opierały się na mierzeniu długości cieni w kraterze. Wyniki uzyskane obu sposobami są zbliżone.

☆

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zamówiły w Japonii budowę sześciu największych statków świata. Będą to cysterny do przewozu ropy naftowej. Każdy z nich posiadać ma wyporność 276 tys. ton, długość 340 m., szerokość 52,5 m. wysokość 31,5 m. (= 7-piętrowej kamienicy). Koszt tych sześciu gigantów wynosi 42.850.000 funtów szterlingów. Dwa ze statków mają być gotowe na jesieni 68 r., pozostałe zaś w 1969 r.

☆

W Cincinnati (USA) wybudowano kosztem trzynastu milionów dolarów tunel. Ostatnia jednak rata tych kosztów opłacona została dopiero w tym roku. Tunel ten wszakże nie został wykorzystany. Zanim go bowiem ukończono, zbudowano autostradę autobusową tak wygodną, że nikt drogą podziemną nie jeździ.

filatelistyka dla wszystkich



Piękną emisją sportowo-przyrodniczą rozpocznie Poczta Polska tegoroczny plan wydawniczy. Tą pierwszą serią 1967 roku będzie „jeździectwo”, emisja wydana z okazji 150-lecia istnienia Stadniny Koni w Janowie Podlaskim. Na 8 znaczkach pokazano sceny z jeździectwa i dwa sławne, wyhodowane w Janowie, ogiery arabskie których potomstwo odnosi sukcesy na torach niemal całego świata. Nakład 1,3 miliona pełnych serii. PPF „Ruch” wyda koperty FDC.

Z okazji siedemsetnej rocznicy urodzin słynnego malarza florentyńskiego Giotto (1266—1337) poczta włoska wydała znaczek okolicznościowy przedstawiający Matkę Boską, według obrazu Giotto. Nakład 20 milionów.



Od pięciu lat poczta USA wydaje znaczki z okazji Bożego Narodzenia. W roku 1966 wydano znaczek za 5 centów przedstawiający fragment obrazu H. Memlinga „Madonna z Dzieciątkiem i aniołami”. Obraz znajduje się w Galerii Narodowej w Waszyngtonie. Nakład 1 miliard 200 milionów egzemplarzy!

Albania wydała serię „kocia” składającą się z 7 znaczków. Podobne znaczki emitowały poczty Rumunii i Jugosławii. Pierwszeństwo jednak ma Poczta Polska, która wydała w roku 1964 słynną serię „kotów”. Seria albańska ma w układzie wiele wspólnego z naszą emisją.



Stare monety serbskie i macedońskie pokazała na znaczkach poczta jugosłowiańska (6 znaczków). Monety pochodzą z XIII—XV wieku. Tego typu serie wydało wiele krajów (Grecja, Izrael, NRF itd) i można by było opracować ciekawy zbiór „numizmatyka na znaczkach”.

Popularny temat „ptaki” wzbogacił się o nową emisję. Nowa Kaledonia emitowała czteroznaczkową serię (w tym dwa znaczki poczty lotniczej) z rysunkami ptaków. Na znaczkach nazwy po łacinie.



Poczta argentyńska emitowała w nakładzie dwóch milionów serii pięć znaczków na cześć uczonych tego kraju. Na znaczkach portrety uczonych.

Serię z motylami wydała Mauretania. Cztery znaczki o wysokich nominacjach drukowane we Francji.

KRZYŻÓWKA NR 3

POZIOMO:

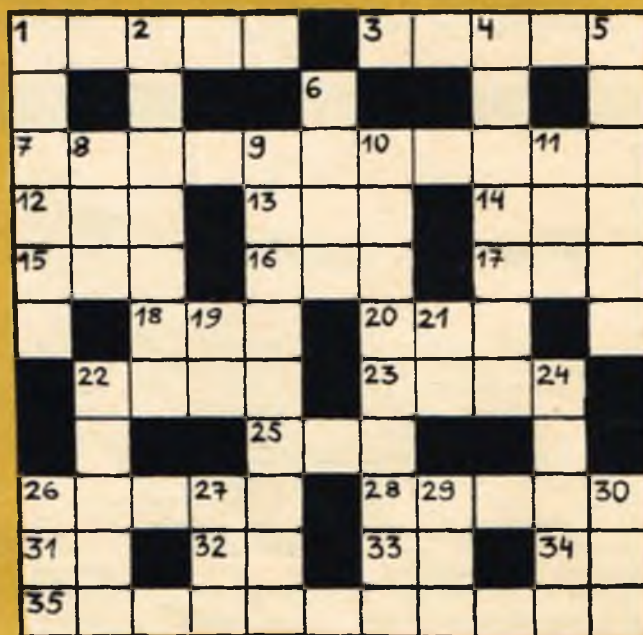
1. Najzdrowszy napój, 3. Imię żeńskie, 7. Sportowiec osiągający najlepsze wyniki, 12. Imię jugosłowiańskiego pisarza laureata nagrody Nobla, 13. Wybrzeże po łacinie, 14. Wydziela go człowiek, 15. Dawny władca Rosji, 16. W piosence jest sina, 17. Zaimek, 18. „Gruba ryba”, 20. Spód (wspak), 22. Aula, duży pokój, 23. Napój, którego bardzo nie lubią dzieci, 25. Obchodzi imieniny w czerwcu, 26. Machina wojenna do burzenia, 28. Bank wśląwiony swoim krachem, 31. Organizacja zbrojna P.P.R., 32. Symbol chemiczny niklu, 33. Pytajnik, 34. Koń, który mówi, 35. Publiczne potępienie samego siebie.

PIONOWO:

1. Rzeka w Bułgarii, lub nazwa papierosów, 2. Straż przyboczna,

ochrona, 4. Karczma, 5. Imię bohatera polskich komedii filmowych, 6. Stanowi część naszej zachodniej granicy, 8. Pramatka, 9. Część mowy, 10. Amanci, podrywacze, 11. Dźwięk, 19. Domek pszczół, 21. Inicjały hinduskiej działaczki społecznej laureatki pokojowej nagrody Nobla, 22. Podziałka, 24. Pracuje pod wodą, 26. Przekładanie kart, 27. Czeskie „tak”, 29. Stowarzyszenie polskich inżynierów i techników, 30. Imię największej polskiej śpiewaczki.

Rozwiązania należy nadsyłać na adres Redakcji „Rodziny” do dnia 28 bm. Autorzy prawidłowych odpowiedzi wezmą udział w losowaniu nagród książkowych.





BAŚŃ O GRODZIE LODOWEJ

Nad rzeką Rabą, między Mszaną Dolną a Myślenicami, wznosi się stroma, porośnięta lasem góra Szczebel. Jest w niej grotą zwaną Lodową, gdyż przez rok cały, zarówno w zimie jak i w lecie — lód w niej leży nigdy nie topniejący. Posłuchajcie, co bajali o niej sto lat temu starzy ludzie we wsi Lubień, leżącej u stóp Szczebła.

Pasterka Kasia pasła na Szczeblu bydło. Stale musiała uważać na to, aby zwierzęta nie zagubiły się w lesie i nie wleciały przypadkiem do głębokiej jamy, na której dnie widać było grubą tafel lodową.

Pewnego razu, gdy położyła się na trawie i z twarzą zwróconą ku niebu liczyła chmurki przepływające nad górą, usłyszała dolatujący z lasu żalony ryk swego ulubionego byczka. Nie zauważyła, kiedy odłączył się od stada i zniknął w lesie. Pełna obawy wstała i czym prędzej pobiegła w kierunku, z którego dolatywał ją głos. Gdy znalazła się w pobliżu groty, ponownie usłyszała jego ryk, dochodzący tym razem jakby spod ziemi. Była już pewna, że byczek wpadł do jaskini, i nie namyślając się skoczyła na dno jamy. Znalazła w ziemi otwór i śmiało się weń wśliznęła. Ogarnął ją mrok i chłód. Posuwała się w ciemności, dotykając wyciągniętymi na boki rękoma ścian, jakby z lodu wykutych. Po chwili rozjaśniło się nieco, a gdy Kasia przestąpiła szeroki próg, znalazła się w dużej, jasno oświetlonej izbie o ścianach wyłożonych złotem, srebrem i drogimi kamieniami. Pod jedną z nich stały cztery wielkie skrzynie, wypełnione do samego wierzchu złotymi dukatami. Na trzech skrzyniach siedziały trzy okropne smoki, toczące krwawymi oczami, wielkimi jak talerze... Na czwartej siedział poszukiwany byczek, umieszczony tu przez diabłów, pilnujących tego zbójckiego skarbu... Trzy diabły siedzące wokół diamentowego stołu powstały na widok Kasi i zapytały: czego tu szuka... Dziewczynka drżącym głosem odparła, że szuka byczka, który wpadł do groty.

Na to jeden z diabłów roześmiał się głośnie, a za jego przykładem poszli pozostali; nawet smoki rechotały ze śmiechu, bijąc ogonami po skrzyniach...

— Byczka swojego musisz nam zostawić — powiedział wreszcie diabeł do Kasi. — Już ci go nie oddamy, potrzebny jest do pilnowania skrzyń ze zbójckimi pieniędzmi... Ale żebyś nie była pokrzywdzona, zapłacimy ci dobrze za niego.

Mówiąc to zacerpnął złotych pieniędzy z jednej skrzyni i rzucił na diamentowy stół. Uczyniwszy tak trzykrotnie, ułożył na stole trzy różnej wielkości kupki złota.

— Bierz, którą chcesz — powiedział do Kasi — i zmykaj stąd. Ale pamiętaj, że jeżeli na czas nie przeskoczysz progu tej komnaty, zostaniesz tu z nami na zawsze...

Kasia była rezolutną dziewczyną. Zaraz sobie pomyślała, że trzeba wybrać najmniejszą kupkę złota, by nie było ciężko skakać z nią przez próg. Zdziwiło ją tylko, że pieniądze były jakby krwią ludzką zavalane. Diabeł wyjaśnił, że są to skarby zebrane niegdyś przez zbójców, którzy w lasach mieszkali i rabowali przejeżdżających drogą kupców i podróżnych. Kasia drżącą ręką wysypała złoto do fartucha, spojrzała smutno na byczka i obróciwszy się podeszła do szerokiego progu. Serce mocno jej biło, gdy spojrzała na przeszkodę. Ale cóż było robić... Odbiła się zgrabnie od ziemi i skoczyła...

W tej sekundzie diabły zatrzasnęły za nią potężne drzwi, ale spóźnili się, gdyż dziewczynka była już za progiem. Ciężka brama przycięła jej tylko koniec pięty.

Kasia szczęśliwie wy dostała się na ziemię, wróciła do wsi i opowiedziała wszystkim o dziwnej przygodzie...

Przychodzi dziś na Szczebel wielu turystów. Niektórzy z nich, wiedzeni ciekawością, zagląda do Lodowej groty, ale nie nie widzą, prócz lodu, a raczej stwardniałego zlodowaciałego śniegu. Drzwi do diamentowej groty zatrzasnęły się na wieki i znaleźć ich nie można.

I ja tam byłem, i ja szukałem wejścia do komnaty z czterema skrzyniami złota, ale nie znalazłem, więc usiadłem przy biurku i napisałem to opowiadanie.

STANISŁAW PAGACZEWSKI

(Dzieci-Snieżki trzymają się po dwoje za rączki, kręcą wokół, potem wiążą koło i mówią. Wewnątrz koła stoi dziecko-Wiatr. Z boku dziecko-Bałwanek Śniegowy).

ZABAWA ŚNIEŻKOWA

(inscenizacja)

ŚNIEŻKI

Chodzi, chodzi
Po ogrodzie
Mroźny wiatr w kółeczko.
Poprzez ścieżki
Goni śnieżki,
Stuka w okieneczko.

WIATR

Uciekajcie,
Umykajcie
Na kwiatowe grządki.
Nic śnieżynce
Po pierzynie!
Co to za porządk!

ŚNIEŻKI

Nie rozganiaj
Wietrze miły,
Śniegowych gwiazdeczek!
Otulimy,
Osłonimy
Każdziutki kwiateczek.
Hej, śnieżyczki!
Hej, siostrzyczki!
Mocno się trzymajmy
I wiatrowi,
Złośnikowi,
Spędzić się nie dajmy!

WIATR

A tu znowu
Kłopot nowy!
Cóżes ty za panek?
(Wchodzi BAŁWANEK ŚNIEGOWY)

BAŁWANEK ŚNIEGOWY

Jestem przecie
Znany w świecie
Śniegowy Bałwanek.

WIATR

Krzywy nosek,
Oczy kose
I kosmate uszka.
Drogi panie,
Czy bałwanie,
Nie włócz się po drózkach.
Idźcie sobie, pókim dobry,
W jakieś inne strony!

BAŁWANEK ŚNIEGOWY

Ach, nie mogę
Ruszyć w drogę,
Jestem przylepiony.
Ulepiły
Mnie dzieciaki,
W kapelusz przybrały,
Tylko nogi,
Wietrze drogi,
Zrobić zapomniały.

(Wchodzi LUTY)

LUTY

Jestem Luty,
Noszę buty
I ciepły kożuszek.
Sزونem chucham,
Wiatrem dmucham,
Gdzie się tylko ruszę!

ŚNIEŻKI

Przyszedł Luty,
Mroźny Luty!
Obuj, chłopie, mocne buty.
Wiatr się sroży
Coraz gorzej,
Już i kożuch nie pomoże.

BAŁWANEK ŚNIEGOWY

A mnie ciepło
I przyjemnie!
Bierzcie, dzieci,
Przykład ze mnie!
Kto z was mrozu
Się nie boi,
Niech w ogródku
Ze mną stoi.

(Wszystkie dzieci tańczą wokół Bałwanka)

WANDA GRODZIĘSKA

ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO • ZOO

NIEDŹWIEDŹ

Proszę państwa, oto miś.
Miś jest bardzo grzeczny dziś.
Chętnie państwu łapę poda
Nie chce podać? A to szkoda.

SŁOŃ

Ten słoń nazywa się Bombi.
Ma trąbę, lecz na niej nie trąbi.
Dlaczego? Nie bądź ciekawy —
To jego prywatne sprawy.

ŻUBR

Pozwólcie przedstawić sobie:
Pan żubr we własnej osobie.
No, pokaż się, żubrze. Zróbże
Minę uprzejmą, żubrze.

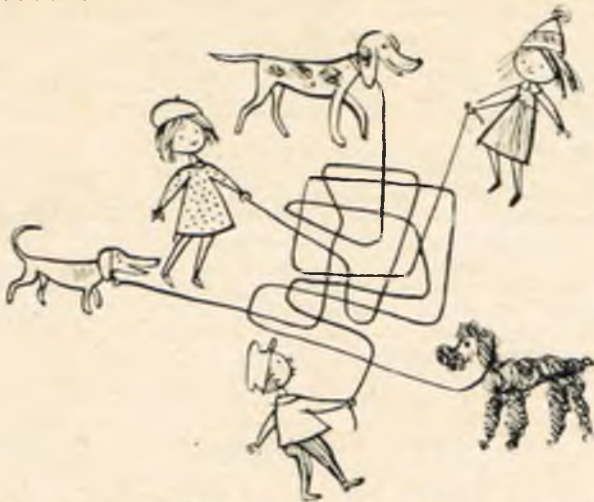
ZÓŁW

Zółw chciał pojechać koleją.
Lecz koleje nie tanieją.
Zółwiowi szkoda pieniędzy:
— Pójdę pieszo, będzie prędeziej.

JAN BRZECHWA

Czy odgadniesz?

Trójka dzieci. Każde z nich trzyma na smyczy swojego pieska. Trudno jednak odgadnąć, który pies należy do którego dziecka. Przypatrzcie się jednak dokładnie a niechybnie odgadniecie.



a to ciekawe!

Kiedy zdarzy ci się stłuc szklankę, mama nawet nie bardzo się gniewa. Nie jest to strata zbyt wielka. Ale w starożytnym Rzymie niewolnik, który nieostrożnie obchodził się ze szklanym naczyniem i miał nieszczęście stłuc je — ponosił dotkliwą karę. Wyroby ze szkła były bowiem wówczas droższe od złotych i srebrnych. A wiecie, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w oknach szyba? W III wieku naszej ery, czyli prawie 1700 lat temu.

Mieszkańcy każdego chyba kraju mają swój ulubiony przysmak, który mogą jeść codziennie i który nigdy się im nie znudzi. We Włoszech taką narodową potrawą jest makaron. Włoch bez makaronu, polanego sosem pomidorowym, czułby się tak, jak my bez ziemniaków. Toteż nic dziwnego, że we Włoszech postanowiono uroczystie obchodzić 750 rocznicę wynalezienia narodowej potrawy.

Grupa uczonych szwajcarskich obliczyła, iż w ciągu ostatnich 5 tysięcy lat, to znaczy od roku 3200 przed naszą erą — do wieku XX, walczone na Ziemi podczas 14513 różnych wojen. W tym czasie tylko 292 lata upłynęły w całkowitym spokoju.

Dane do 850 tysięcy obliczeń zostały spisane na 73 tysiącach kart. Dokonała ich elektronowa maszyna matematyczna.

Oklaski, którymi nagradzamy grę aktorów w teatrze, występy muzyków, a także przemówienia i odczyty, nie są wynalazkiem naszych czasów. Widzowie i słuchacze zaczęli w ten sposób wyrażać swoje uznanie za panowania rzymskiego cesarza Augusta, czyli dwa tysiące lat temu.

Czytaliście może kiedyś o drzewie chlebowym, które rośnie w krajach gorących? Owoce jego rzeczywiście smakują jak chleb i wyglądem przypominają bochenki razowca. W Ugandzie natomiast (Afryka Wsch.) spotyka się „drzewo kielbasiane”. Ogromne owoce tego drzewa — ciężar ich dochodzi do 6 kg — mają kształt kielbas. Rosną one i dojrzewają niezwykle szybko — w ciągu jednego miesiąca od zakwitnięcia kwiatów

Niedawno obchodziliśmy 120 rocznicę urodzin i 50 rocznicę śmierci Henryka Sienkiewicza. Z tej okazji pisano o znakomitym autorze „Trylogii” i „Krzyżaków” w wielu krajach. Sienkiewicz jest bowiem najbardziej znanym za granicą polskim pisarzem. Ukazało się ponad 300 wydań jego dzieł w przekładach na 43 języki obce. Powieści i nowele Sienkiewicza przetłumaczono nawet na języki: arabski, hindu, kazachski, ormiański, tatarski, japoński, maryjski, portugalski, koreański, perski, tadżycki.

W Warszawie jest około 5000 ulic. Wiele z nich wytyczono w nowych dzielnicach czy osiedlach mieszkaniowych i czekają one jeszcze na swoje nazwy. Najdłuższymi ulicami stolicy są: Puławska, Wał Miedzeszyński i Szosa Wilanowska. Długość każdej z nich dochodzi do 9 km.

Czy człowiek może się obyć bez snu? Okazuje się, że nie. Sen potrzebny jest człowiekowi bardziej nawet niż pokarm. Bez pożywienia moglibyśmy żyć około 30 dni, bez snu — najwyżej 10. Podczas snu odpoczywa najważniejszy organ ciała ludzkiego — mózg, w śnie całe ciało regeneruje swoje siły. Dokonuje się jakby „remont” całego organizmu. Podczas snu szybciej goją się rany, ciało odporna się na działanie różnych zarasków. Łatwiej zwalcza choroby. Dzieci rosną także przede wszystkim w godzinach snu. Sen przedłuża nam życie, a nawet często ratuje je.

Nie znamy imienia, nazwiska wynalazcy figurek szachowych. Wiemy tylko, że wymyślono je w Indiach, około VI wieku. Niebawem szachy rozpowszechniły się wśród Arabów, a od nich nauczyli się tej gry Europejczycy. Stało się to podczas wypraw krzyżowych do Palestyny, w XI—XIII wieku. Wśród zdobywców wojennych krzyżowcy przywieźli do domu również misternie rzeźbione w drzewie lub w kości — figurki szachowe.

Gra w szachy była od dawna znana i w Polsce. W Sandomierzu znaleziono wśród szczątków osady z XII wieku doskonale zachowane szachy. Były wyrzeźbione z rogu.

ZGADYWANKA

Brzoza i sosna umówiły się wiosną, że będą grać w zielone.

— Ale przez cały rok? — powiedziała sosna.

— Pewnie, że przez cały — zgodziła się brzoza.

Grały przez wiosnę, przez lato, przez początek jesieni — teraz przestały. Czy wiecie, kto wygrał?

CZY JESTES SPOSTRZEGAWCZY?



Dwa podobne do siebie rysunki. Podobne a jednak nie takie same, bo gdy przyjrzyjecie się dokładnie, to spostrzeżecie drobne różnice. My tych różnic naliczyliśmy sześć. Spróbujcie je odszukać.

CZY JESTES SPOSTRZEGAWCZY?

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pani F. W. z Lubartowa: „Od pewnego czasu jestem stałą czytelniczką Tygodnika „Rodzina”. Podoba mi się to pismo. Interesujące są zwłaszcza „Rozmowy z Czytelnikami”. Ja również czytam Biblię i w związku z tym nasuwają mi się pewne wątpliwości. I tak w Składzie Apostolskim wyznajemy: „Wierzę... w ciała zmartwychwstanie” a w modlitwie za zmarłych mówimy: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie”. Według mnie zachodzi tu sprzeczność, bo wieczny odpoczynek nie daje nadziei na zmartwychwstanie. Nie wiem więc, jak należy się modlić za dusze zmarłych”.

Nie zachodzi żadna sprzeczność pomiędzy modlitwą o „wieczny odpoczynek” a nauką o zmartwychwstaniu ciał przy „końcu świata”. Wyraz „odpoczynek” nie odnosi się do ciała zmarłego, lecz do jego duszy żyjącej poza grobem. Prosimy Boga, by duch człowieka zmarłego osiągnął inny, lepszy los niż nasz los na ziemi zwanej „padoleńcem”. Prosimy, by świadomość duszy człowieka zmarłego nie doznawała już żadnych trosk, zmartwień i niepokojów dręczących serce i umysł każdego z nas na ziemi. Wcale nie trzeba się przy tym modlić za spokój ciała. Ono niczego nie odczuwa i całkiem „spokojnie” rozpada się w proch. Gdy przed „ostatnim sądem” powstanie, podzieli los duszy. mianowicie będzie posiadało albo „wieczny odpoczynek” od udręczeń ziemskich, albo „wieczny niepokój” przerastający ziemskie udręki.

Korespondentka z Lubartowa zadaje nam jeszcze inne pytania:

Czy rzeczywiście św. Piotr apostołował w Rzymie i tam umarł? — Ani Pismo św. ani też inne wiarygodne dokumenty historyczne nie mówią o pobycie i śmierci Piotra w Rzymie. Przy takiej informacji obstać uparcie tylko legenda opisana w apokryficznych opowiadaniach zwanych „Dziejami św. Piotra”. W Rzymie przebywał Ap. Paweł i on tam założył pierwszą „parafię” chrześcijańską. Na ten temat obszerniejszą informację można znaleźć w miesięczniku „Poświadczenie” nr 7-8 z ub. r.

Dlaczego w kazaniach maryjnych księży rzymskokatolickich porównują Matkę Bożą z biblijną Esterą, skoro wiadomo, że jedna była szlachetną Dziewicą i Matką Chrystusa, a druga była kobietą lekkich obyczajów, nałożnicą króla Persów, Kserksesa, względnie jedną z jego żon? — Przy pewnym wysiłku dialektycznym można by Matkę Bożą porównać do Estery: Izraelitom przebywającym w niewoli perskiej groziła zagłada i Ester przez podbite serca królewskiego naród swój od tej zagłady uratowała. Podobnie ludzkości całej groziła „zagłada” związana z „grzechem Adama”, Maryja zaś przez wyrażenie zgody na zostanie Matką Zbawiciela uratowała ludzkość od nieszczęścia w płaszczyźnie życia nadprzyrodzonego. — Chociaż potrafimy sobie to zestawienie wyjaśnić, nie mamy do niego przekonania i odradzamy go kaznodziejom polskokatolickim.

Jaka jest spowiedź w Kościele Polskokatolickim? — Niejednokrotnie wyjaśnialiśmy, że praktykujemy spowiedź zarówno uszną jak i ogólną przed ołtarzem. Wyjaśnialiśmy, że spowiedź jest tylko jednym z pięciu warunków Sakramentu Pokuty i to nie tym najważniejszym. Zachęcamy do spowiedzi usznej, ale do niej nie zmuszamy. Lepiej, by się chrześcijanin wyświadczył przynajmniej ogólnie przed ołtarzem, aniżeli miałby w ogóle unikać kontaktu z Bogiem jedynie dlatego, że ma wewnętrzne opory przed szeptaniem swoich intymnych słabości do ucha znajomego księdza.

Dziękując za serdeczne pozdrowienia, pozdrawiamy wzajemnie i prosimy o podtrzymanie z nami korespondencji.

Pan F. K. z Krakowa: „Czy koniecznie trzeba wierzyć w Boga i bezmyślnie klepać całe kopy zdrowasiek i innych modlitw, by po śmierci być zbawionym i osiągnąć Królestwo niebieskie?” — Tak rozpoczyna swój dłuższy wywód filozoficzno-teologiczny nasz miły Czytelnik i stawia dwie hipotezy. **Hipoteza pierwsza: Jest Bóg i życie wieczne.** Po śmierci stają przed sędzią dwaj ludzie, uczciwy „bielutki jak śnieg” ateista i nieuczciwy „czarny jak sadza” katolik wierzący, modlący się, praktykujący, ale „wiarołomca, cudzołóżnik” bez żadnego dobrego „ludzkiego” uczynku. Jak zabrzmi dla nich Boski wyrok? Nasz Czytelnik przypuszcza, że uczciwego ateistę Bóg wpuści do nieba „między anioły i świętych” a podłego katolika wypędzi „między diabły i belzebuby na potępienie wieczne”. — **Hipoteza druga: NIE MA BOGA i życia wiecznego.** Podły katolik już za życia dręczony jest przez własne sumienie, „każdy uczciwy człowiek omija go ze wstrętem”. Uczciwy ateista jest „wesoły, uśmiechnięty, lubiany przez wszystkich, jego nikt i nic nie dręczy, jednym słowem jest szczęśliwy. On ma radość życia — a to najwyższa nagroda!” Po śmierci podłego katolika każdy powie, że to był „szubrawiec”, zmarłego zaś uczciwego ateistę ludzie wspominają z uznaniem i wdzięcznością. „Oto kara i nagroda za nieuczciwe i uczciwe życie” — kończy Korespondent z Krakowa.

Nie pyta nas ani nie prosi o polemikę z tego rodzaju poglądami na „rzeczy ostateczne” ludzi wierzących nieuczciwych i ludzi niewierzących uczciwych. Uważamy jednak, że należy się Czytelnikom pewne wyjaśnienie, ponieważ do wypowiedzi Korespondenta zakradło się kilka nieścisłości.

I tak najpierw niezyciowo i nierealistycznie Czytelnik stawia dwa przykłady krańcowe, wzięte chyba tylko z wyobraźni. Zgadząmy się, że istnieje mnóstwo katolików (ludzi wierzących), którzy żyją jakby w nic nie wierzyli, oraz istnieje mnóstwo ludzi niewierzących, którzy żyją tak jak zalecają różne religie. Ale nie ma na świecie „czarnych jak sadza” katolików, ani nie ma „bielutkich

jak śnieg” ludzi niewierzących. Najwięcej jest ludzi czarno-białych lub szarych.

Druga sprawa to sprawdzian decydujący o losie pozagrobowym czy nawet o ludzkiej opinii za życia i po śmierci. Należy stwierdzić, że owym sprawdzianem nie jest przynależność jakiegoś wyznania i nie jest ilość „bezmyślnie klepanych” modlitw, lecz uczciwe życie. Zapewne Bóg w niebie woli mieć wokół siebie ludzi uczciwych niż podłych. Stwierdził to Chrystus, gdy uczył: „Nie każdy kto mówi „Panie, Panie” wnijdzie do Królestwa Bożego, ale ten, kto czyni wolę Ojca mego, który jest w niebiesiach”. Celem religii jest właśnie wychowanie uczciwego człowieka.

Tutaj dochodzimy do trzeciej sprawy. Religia jest środkiem pomagającym człowiekowi przejść przez życie zgodnie z zasadami moralności. Jeżeli ktoś potrafi żyć uczciwie bez religii — to nie należy mu jej narzucać. Znając jednak naturę ludzką, śmiemy wątpić, czy bez zewnętrznej pomocy człowiek utrzyma się przez całe życie na chwiejnej linii uczciwości. Wprawdzie jest policja (milia), są sądy i opinia publiczna, lecz nie zgadzamy się z naszym Korespondentem twierdzącym, że „zło wyjdzie zawsze na zło, a dobro — na dobro”, że „przestępcze życie skutecznie ściga prawo i taki wcześniej czy później wpadnie i pozbawiony zostanie wolności”. Nie zgadzamy się z tym, znając życie konkretne, a nie z wyobraźni. Wiadomo, ile to kradzieży i morderstw uchodzi bezkarnie dlatego, że złodziej lub morderca zdołał umknąć i dobrze się ukryć. Wiadomo, ile krzywd w ogóle nie trafia na wokandy sądową ani pod sąd opinii publicznej. Ilu to ludzi rozbija rodziny całkiem bezkarnie, a często otrzymuje nagrodę w postaci pochlebnej opinii „Don Juana”, — pogromcy serc niewieścich, lwa salonowego itp? Ilu to ludzi podłych potrafi oczernić ludzi niewinnych i opinia publiczna potępia oczernionych, a wielbi oszczerców?

Te tylko zastrzeżenia i uwagi podajemy pod rozwagę naszemu Korespondentowi z Krakowa i przesyłamy pozdrowienia.

Pan Jan Piłat z Gliwic pisze: „Odkąd kupiłem pierwszy numer „Rodziny”, odtąd zostałem jej stałym czytelnikiem i zwolennikiem Kościoła Polskokatolickiego. Cenię prawdę, a znajduję ją w tym Kościele...” Dalej informuje nas, iż z rozmów z różnymi ludźmi w Gliwicach wynika, że mamy tam wielu sympatyków. Naszymi przeciwnikami są głównie „księża rzymscy”, którzy przezywają nas „wywrotowcami”. W związku z tym Korespondent z Gliwic wyznaje: „Mnie się tacy uczciwi „wywrotowcy” podobają i wielu innym też i dlatego stają po Waszej stronie”. Pod koniec listu prośba o informację: „Od kiedy powstała spowiedź na ucho, kto ją wynalazł i czy w innych Kościołach też taka spowiedź istnieje?”.

Informowaliśmy już kilkakrotnie, że spowiedź „na ucho” zaprowadzono dopiero wtedy, gdy do kościołów wprowadzono konfesjonały, czyli dopiero w późnym średniowieczu (XVI wiek). Nie znaczy to, że wcześniej nie było spowiedzi prywatnej — indywidualnej — bez szeptania do ucha. Spowiedź prywatna — jednego penitenta z jednym księdzem — polegająca na wyliczaniu każdego grzechu oddzielnie — była praktykowana w pierwszych wiekach chrześcijaństwa (na pewno w IV wieku). Ponieważ nie wiemy, kto ją „wynalazł” — należy przypuszczać, że była to praktyka stara i powszechna. Taką spowiedź prywatną — bez konfesjonału — zna Kościół Wschodni od niepamiętnych czasów.

Dziękujemy za życzenia i pozdrowienia.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Włczyńska 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7\$, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13,6 L; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7\$, dla Australii 2,10,5 LA, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rekopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Zakłady Wkłęsłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72, T-32, Zam. 2780.



zdj. 1 Wzgórze Tumskie, katedra romańska i wieża zegarowa
zdj. 2 barokowy dom z XVII w.
zdj. 3 nowe domy wyrastają na przedmieściach...
zdj. 4 ...archeolodzy szukają śladów przeszłości...
zdj. 5, 6 ...na polach wyrosły nowe zakłady rafinerii nafty...
zdj. 7 rozbudowie uległa stocznia plocka...

Najmłodszą, a zarazem najbardziej przyszłościową dziedziną naszej gospodarki, jest chemia. Ona też nadala rozmach miastu, które obok Warszawy i Krakowa, szczyścić się może tym, że w historycznej swej przeszłości pełniło rolę stolicy Polski.

Plock, do niedawna jedno z mało znaczących miasteczek Mazowsza, otrzymał rangę ważnego ośrodka przemysłowego. Kosztem wielu milionów złotych, powstały tu największe w kraju zakłady przemysłowe. Na polach wsi Biała, włączonych w obszar miasta, wyrosły dziesiątki stalowych zbiorników, wież, kominów. Tu przetwarzana jest ropa naftowa, dostarczana rurociągiem „Przyjaźń” ze Zw. Radzieckiego. Obok przemysłu naftowego, pomyślny rozwój notują zakłady wyrobu maszyn rolniczych, zakłady mięsne, stocznia plocka. Na peryferiach miasta wyrosły nowe osiedla mieszkaniowe, a stare domy dozwały się pięknych elewacji kolorystycznych opracowanych przez artystów.

Ale nie tylko nowy przemysł godny jest uwagi. Archeolodzy, wspólnie z naukowcami odkrywają coraz to nowe ślady dawnej przeszłości. M. in. w najstarszej części miasta, na Wzgórzu Tumskim, z którego rozciąga się wspaniały widok na płynącą Wisłę i lasy osnute grudniową mgiełką, na lewym brzegu rzeki, odkryto kamienne mury preromańskie. Wg doc. dr Szafrąńskiego mury te stanowiły pałac budowane jeszcze za czasów Bolesława Chrobrego. To nie jedyny

PIASTOWSKI GRÓD



ślad przeszłości piastowskiej. W grodzie pełniącym w owym czasie ważną funkcję w systemie grodów obronnych. Pieczołowicie odbudowuje się fragmenty murów obronnych, z wieżą zegarową i wieżą szlachecką, budowanych w XIV w. W katedrze romańskiej z 2 połowy XII w. znajdują się groby Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. W dawnej kolegiacie z XIII w. mieści się szkoła. Wśród licznych starych domów, godne uwagi są kamieniczki z barokowymi szczytami z XVIII w. i zegar słoneczny, Ratusz, rogatki klasycystyczne z XIX w., muzeum państwowe z licznymi zbiorami sztuki, dom, w którym urodził się Wł. Broniewski, oraz dom zw. „Pod Trzema Królami” z XV w. 60-tysięczne miasto, które w niedalekiej przyszłości liczyć będzie 100.000 mieszkańców ma również bogate tradycje walk o wolność i wyzwolenie społeczne. Tu zginął jeden z naczelników powstania styczniowego — Zygmunt Padlewski, tu ginęli działacze rewolucji 1905 r. i bojownicy w walce z hitleryzmem. Plock ma również bogate tradycje kulturalne. Działa tu od roku 1820 jedno z najstarszych w kraju, Towarzystwo Naukowe Plockie, mające duży dorobek w tej dziedzinie. (CH)

